



22 lipca 2026

NR 169 (18562)

Sport



Klawo jak cholera

Wydanie papierowe ISSN 0137-9305

Wydanie cyfrowe ISSN 3072-0575

Z DRUGIEJ STRONY

Tomasz
MuchaLokomotywą
do rajów?

Fanom rodzimych drużyn w końcu znów mocniej zabity serca, unikając przy tym – co ważne – poważniejszych palpitacji. Dwumiesięczny post od piłkarskich emocji – bo przecież rozdmuchany mundial mógł kibica nad Wisłą i Odrą przyprowadzić co najwyżej o czkawkę – nareszcie dobiegł końca i od razu zaszerwował całkiem strawnym obiadem dwudaniowym.

Pierwsze z dań okazało się pożywną zupą, w której jak grzyby w barszczu pływali sobie piłkarze Lecha. Jasne, widać było, że palnik potrzebuje czasu, ale jak w końcu podgrzał ich do odpowiedniej temperatury, to Duńczykom z Aarhus na stadionie w Randers Lechici dali nieźle w palnik. Cztery gole, tylko jeden po stronie strat i zdaje się, że Kolejorz w cokolwiek zaskakujących okolicznościach wsiadł do komfortowej lokomotywy zmierzającej znacznie dalej niż na rewanż do Poznania, czyli już prosto do kolejnej rundy eliminacji Ligi Mistrzów. Czy to oznacza, że Mikael Ishak i kompania urastają do miana faworytów w całym wyścigu do klubowego rajów i po dekadzie posuchy dowiozą tam polski zespół? Oczywiście nie sposób po jednym, nawet fajnym, meczu wyrokować, ale faktem jest, że Lech wjechał na szerokie tory. Rewanż z Duńczykami powinien być formalnością, w następnej rundzie czekać będą Azerowie lub Finowie – umówmy się, półka w zasięgu. I zostanie runda „o wszystko”...

Ale nie dzielimy skóry na niedźwiedziu. Lech po wakacjach wygląda dobrze, Górnik gorzej, co zasygnalizował mecz o Superpuchar Polski, który Zabrzanie przegrali 1:3. Wicemistrz Polski jest generalnie na innym pułapie niż Kolejorz – o czym świadczy choćby fakt, że przed bojem o Ligę Mistrzów oddał dwóch ważnych graczy środka pola, a co dał w zamian? Siła nowych graczy to melodia przyszłości, o ile w ogóle. Nikt, kto realnie myśli o podbiciu Europy tak nie robi – w Zabrzu przerobiono doskonale znany polski scenariusz „ostabiania się” przed godziną zero. Dla mnie to dowód, że Lukas Podolski i jego ekipa to pragmatyczni realiści, choć i słowo „asekuranci” poddałbym pod dyskusję.

Ale też warto pamiętać, że Górnik do europejskich pucharów, i to wcale nie tych trzeciej kategorii, wrócił po ośmiu latach, a i poprzeczkę miał ustawioną wyżej niż Lech. Oglądanie jego potyczki w Stambule nasuwało jednak nieodparcie myśl, jak wyglądałaby polska reprezentacja na mundialu: głęboka defensywa, świetny golkeeper – nawet jeżeli raz się pomylił - i liczenie na cud. Umówmy się, rywal nie okazał się jakimś małowanym diabłem, choć wynik w Turcji jest zdecydowanie lepszy, niż była sama gra drużyny Michała Gasparika. I co ważne, przynajmniej przed pierwszym gwizdkiem rewanżu na Roosevelta sprawę awansu stawia otwartą. Już to jest, mam wrażenie, sukcesem Zabrze. Jakby nie zakończyły się losy Lecha i Górnika w starciach z Aarhus i Fenerbahce, obie ekipy mają komfortową sytuację i trzy szanse zaistnienia w Europie. To ważne, tak samo jak wyniki innych naszych drużyn w pucharach – wkraczających do nich w czwartek Rakowa i GKS-u Katowice oraz dwa tygodnie później Jagiellonii. Polskie drużyny zaczęły sezon z 11. miejsca w klasyfikacji UEFA, po raz pierwszy jest ich pięć, w tym dwie w eliminacjach Ligi Mistrzów, do której awans z roku na rok jest coraz bliżej. Niebawem, ale w poprzedniej edycji więcej punktów do rankingu zdobyła tylko „można” szóstka europejskiego futbolu, czyli: Anglia, Hiszpania, Niemcy, Portugalia, Włochy i Francja! Gdyby udało się te wyniki podtrzymać, awans na 10. pozycję – nawet bez szczęśliwego finału Kolejorza czy Górnika – zapewni ekstraklasie Champions League z „urzędu”, za dwa lata. A na to wytrawne danie futbolowa Polska czeka od dekady! I coraz bardziej wygląda na to, że w końcu ten serwis dojedzie.



Fot. Przemysław Szyszka/PresFocus

Świetnie przedstawił się kibicom Terry Yegbe w meczach z Górnikiem i Aarhus.

Środkowy obrońca popisał się kapitalnym golem i mistrzowie
Polski wracają do Poznania z trzybramkową zaliczką.

Aarhus GF spotkania w europejskich pucharach rozgrywa na Cepheus Park. Mikael Ishak zna ten obiekt jak własną kieszeń. Szwed w barwach duńskiego Randers FC rozegrał 78 spotkań, strzelił 34 gole i zaliczył 6 asyst. Nic więc dziwnego, że to kapitan Lecha zaczął zdobywanie bramek w spotkaniu z AGF. Nie minęło pół godziny, a Joel Pereira świetnie dostrzegł snajpera w polu karnym, który huknął pod poprzeczkę!

Podpuścić i skasować

Do tego momentu nie było jednak kolorowo - piłkarze Kolejorza mieli spore problemy, żeby utrzymać się przy piłce i wymienić kilka podań. Zawodnicy trenera Jakoba Poulsena wyszli mocno zmotywowani, ale energia zesła z nich po straconym голу i... bramkarzu. 41-letni Jesper Hansen dotknął piłkę ręką poza polem karnym po sprytnym zagranie Luisa Palmy. Golkeeper, jak na swój wiek, zachował się kompletnie nieodpowiedzialnie. Przed mistrzami

Polski ukazały się drzwi do rajów, a te już kilka minut później udało się uchylić. Antoni Kozubal odegrał do Patrika Walemarka, a ten w sytuacji sam na sam podwyższył na 2:0. Spotkanie układało się dla Kolejorza wręcz wyśmienicie. Na początku dał się wyszumić rywalom, ale gdy przyszło do konkretów, przejął inicjatywę i załatwił sprawę...

Rakieta ziemia-powietrze

W biblijnym rajach był jednak wąż. Ten w przypadku Lechitów nazywał się pewność. Zbyt nia mogła doprowadzić ich do zguby. Być może z tego powodu na początku drugiej połowy gospodarze zmniejszyli stratę. Chaos w obronie wykorzystał Kristian Arnstad, a kilka minut później mógł być remis, ale Michał Gurgul wybił piłkę głową sprządną linią bramkową. Próba była jednak impo-nująca, ponieważ strzelec gola uderzył z bardzo dużej odległości, ale serca kibiców Kolejorza mogły na chwilę stanąć...

Po tym wstrząsie zawodników Nielsa Frederiksena

uspokoili... Terry Yegbe. Środkowy obrońca zdecydował się na strzał z około 30 metrów, a piłka odbiła się od słupka i wpadła do bramki. Piłkarze Lecha łapali się za głowy! Ghańczyk nie mógł sobie wymarzyć lepszego debiutanckiego trafienia w niebiesko-białych barwach. – Jak zobaczyłem, że mam trochę przestrzeni i mogę strzelić z dystansu, to się na to zdecydowałem. Wyszło świetnie, mam bramkę i cieszę się z tego, choć oczywiście kluczowa jest wygrana – mówił stoper cytowany przez oficjalną stronę klubu.

Nowe osiągnięcie
odblokowane

Po chwili mistrzowie Danii byli na kolanach. Jeden z obrońców pomylił się w obliczeniach, piłkę przejął Walemark i zdobył swojego drugiego gola. Dla Szweda to wyjątkowa chwila, ponieważ były to jego pierwsze bramki w europejskich pucharach, chociaż rozegrał już kilka takich spotkań.

Końcówka rywalizacji była pod kontrolą pol-

skiego zespołu, który nie chciał już głupio stracić kolejnego gola. Lechici do Poznania wracają z zapasem trzech goli i chociaż jedną nogą są już w następnej rundzie eliminacji, to w rewanżu ponownie muszą być w pełni skoncentrowani. Duńczycy pokazali, że jak chcą, to potrafią dobrze grać.

Miłosz Cebo

2. RUNDA ELIMINACJI LIGI MISTRZÓW

■ Aarhus GF – Lech Poznań 1:4 (0:2)

0:1 – Ishak, 29 min, 0:2 – Walemark, 42 min, 1:2 – Arnstad, 55 min, 1:3 – Yegbe, 61 min, 1:4 – Walemark, 65 min
AGF: Hansen – Jensen-Abbew (73. Andersen), Tingager, Kahl – Links (83. Kristjansson), Arnstad, Knudsen, Emmery – Jorgensen (39. Hedenstad), Bech (73. Bogere), Anderson (73. Yakob). Trener Jakob POULSEN.

LECH: Lis – Pereira (78. Gumny), Mořka, Yegbe, Gurgul – Rodriguez, Murawski (54. Jagietto), Kozubal – Walemark (66. Bengtsson), Ishak (66. Agnero), Palma (66. Hakans). Trener Niels FREDERIKSEN.

Sędziował Oliver Reitala (Finlandia). Widzów 9500. Żółte kartki: Links – Murawski, Agnero, czerwona Hansen (37, zagranie ręką).

WYNIKI MECZÓW EUROPEJSKICH PUCHARÓW

II RUNDA ELIMINACJI LIGI MISTRZÓW

- Ararat-Armenia – Shamrock Rovers 2:0 (0:0)
- Iberia Tbilisi – Slovan Bratysława 0:2 (0:2)
- Mjallby – Lincoln Red Imps 3:0 (3:0)

- Sabah FK – KuPS 1:0 (1:0)
- Thun – Dinamo Zagrzeb 1:1 (1:0)
- Sturm Graz – Heart of Midlothian 4:0 (1:0)
- Klaksvik – Žalgiris Kowno 0:0
- Larne – Crvena zvezda 0:4 (0:1)
- Vikingur Reykjavik – Hapoel Beer Szew 2:1 (0:0)

II RUNDA ELIMINACJI LIGI KONFERENCJI

- IFK Goeteborg – Levadia 1:2 (0:2)
- Floriana – Drita Gnjilane 1:1 (0:0)
- Atert Bissen – Gyori ETO 2:6 (1:3)

Zdecydował jeden strzał

Mimo wielkiej przewagi Fenerbahce wygrało u siebie z Górnikiem tylko 1:0. Sprawa awansu do III rundy Ligi Mistrzów pozostaje otwarta.

Michał Zichlarz, Stambuł

ELIMINACJE LIGI MISTRZÓW

Mecz jeszcze się nie zaczął, a już było nerwowo. Na sektor kibiców Górnika wparowały służby porządkowe i starły się z fanami zabrzańskiego klubu. A to wszystko w czasie rozgrzewki obu zespołów.

Trafik z wolnego

Górnicy, jak zapowiadał na przedmeczowej konferencji trener Michał Gasparik, zaczęli z debutantem Maximilianem Dietzem na środku pomocy, który zastąpił kontuzjowanego w meczu o Superpuchar Polski Jarosława Kubickiego. Gospodarze z pozyskany latem z Manchesteru City Nathanem Ake. Inny nowy gracz, kupiony za 39 mln euro Mason Greenwood, pojawił się na boisku w końcowych minutach.

Wicemistrzowie Turcji z miejsca zdobyli przewagę, długo utrzymując się przy piłce na połowie Zabrzan. Przez pierwsze minuty śląski zespół nie potrafił wyjść ze swojej połowy, broniąc się



Maksym Chłań (w środku) i Yvan Ikia Dimi nie byli w stanie wiele zdziałać w Stambule. Z nr 6 Francuz Matteo Guendouzi.

całą jedenastką. W 6 minucie pierwszy celny strzał Bartuga Elmaza, ale Schulze sparował futbolówkę. To był jedyny konkret ze strony faworyta w pierwszym kwadransie. Po-

tem zdobywcy Pucharu Polski udało się nieco wyrównać grę, czego efektem było mocne uderzenie Erika Janży. Mert Gunok sparował jednak piłkę na różnego (słynny brazylijski

golkeeper Ederson siedział na ławce).

Przed upływem drugiego kwadransu dwojacy i trojacy się w defensywie Rafał Janicki uratował swój zespół przed

utrata gola, skutecznie blokując piłkę przed linią bramkową po strzale aktywnego na skrzydle Elmaza. Zabranie rzadko kontratakowali, ale jeżeli już, to potrafili zagrozić miejscowym, jak po jednym z rajdów i zagrań przed pole karne Maksyma Chłania.

W końcu Fener osiągnęło cel i trafiło do siatki, a gola z rzutu wolnego zdobył Anderson Talisca. Schulze nie tylko źle ustawił mur, obok którego przeleciała piłka, ale także spóźnił się z interwencją. Trzeba też przyznać, że trafienie brazylijskiego napastnika było przedniej marki.

Dobry Schulze

Druga połowa to kolejne ataki i przewaga drużyny trenera Ismaila Kartala. Mogło być 2:0, gdyby nie świetna obrona piłki po strzale głową Taliski przez Schulze. Niemiecki bramkarz intuicyjnie sparował piłkę. Zaraz potem taka sama sytuacja! Tym razem skierował piłkę po strzale aktywnego brazylijskiego napastnika na słupek. Pachniało kolejnym golem dla drużyny z dzielnicy Kadikoy. Górnik znowu nie potrafił wyjść z piłką ze swojej połowy. Po godzinie w poprzeczkę huknął Elmaz. Przewaga ekipy ze Stambułu była momentami miażdżąca, na szczęście dla na-

szej drużyny wynik nie uległ zmianie.

Dodajmy, że Fenerbahce przez całe spotkanie niesione było fanatycznym dopingiem swoich kibiców. Tutaj zespół wspiera cały stadion, wszyscy bez wyjątku. Jest głośniejsze niż gdzie indziej.

W końcówce były jednak gwizdy, gdy przez blisko trzy minuty turecka drużyna rozgrywała piłkę, ale głównie wszerg i w tył. To się miejscowym fanom nie podawało (posiadanie piłki we wtorkowym meczu to blisko 80 do 20 na korzyść F. Bahce). Ostatecznie skończyło się na nikłej porażce zespołu z Zabrza. Sprawa awansu do kolejnej rundy Champions League rozstrzygnie się za tydzień na Stadionie im. Ernesta Pohla, gdzie też – jak we wtorek w Stambule – będzie komplet na trybunach i na pewno gorąca atmosfera.

2. RUNDA ELIMINACJI LIGI MISTRZÓW

Fenerbahce SK – Górnik Zabrze 1:0 (1:0)

1:0 – Talisca, 36 min (wolny)

FENERBAHCE: Gunok – Semedo, Skriniar, Ake (46. Mercan), Oostervolde – Elmaz (69. Asensio), Guendouzi, Fred – Kahveci (83. Greenwood), Talisca (87. Cherif), Akturkoglu (69. Aydin). Trener Ismail KARTAL.

GÓRNIK: Schulze – Sacek, Janicki, Josema, Janża – Ikia Dimi (71. Zmrzły), Dietz (76. Donio), Urbański (72. Liseth), Sadilek, Chłań (90+3. Warczak) – Prekop. Trener Michał GASPARIK.

Sędziował Manfredas Lukjancukas (Litwa). **Widzów** 47 tysięcy.

W cieniu wielkiej historii

Zabrzańska „Torcida”, a więc najbardziej zaangażowana grupa fanów 14-krotnego mistrza Polski, wynajęła aż trzy samoloty, żeby w silnej grupie wylecieć nad Bosfor. We wtorek na 47-tysięcznym Sükrü Saracoglu Stadium było blisko tysiąc kibiców Górnika!

Przejechali całą Europę!

Dwójka z nich, 33-letni Mariusz i 21-letni Maciek, wyjechali z Zabrza do 15-milionowego Stambułu... stopem w poprzedni poniedziałek. Podróż zajęła im tydzień, ale – jak podkreślili – było warto, a wszędzie mogli liczyć na pomoc. Jechali z kierowcami z Rumunii, Kirgistanu, oczywiście też z Polski. W zatrzymywaniu pojazdów pomagała... piłka, którą w przerwach odbijali, czekając na podwózkę.

Kibice Górnika już w południowych i we wczesno-

popołudniowych godzinach gromadzili się w centrum miasta, w jego europejskiej części nieopodal Hagii Sofia, czyli Świątyni Mądrości Bożej. To jeden z ważnych chrześcijańskich kościołów zmieniony przez Turków w meczet, a teraz od lat remontowany. Naprzeciwko stoi Błękitny Meczet, który swoją architekturą, wielkością i wykończeniem miał przyćmić chrześcijańską świątynię. Wewnątrz do wzięcia Koran, a także informacje na temat islamu w wielu językach, w tym po polsku. Książeczki i broszurki do wzięcia za darmo.

Fani zdobywcy Pucharu Polski przed meczem marzyli o remisie, zastanawiali się, czy w zespole gospodarzy zagrają pozyskani Nathan Ake i w ostatnich dniach Mason Greenwood, licząc na to, że naszpikowany gwiazdami rywal zlekceważy ich zespół. W gazetach pełno informacji na temat spotkania. Trener



Mariusz (z prawej) i Maciek pojechali do Stambułu na mecz z Fenerbahce... autostopem! W tle Błękitny Meczet.

F. Bahce – bo taką pisownię stosują tureckie periodyki – przestrzegał jednak przed jakimkolwiek bagatelizowaniem przeciwnika. – Nie ma mowy, żeby ktoś kogoś zlekceważył. Wiemy, o co gramy – mówił przed spotkaniem 65-letni Ismail Kartal, który z klubem z dzielnicy Kadikoy związany jest od początku lat 80., najpierw jako zawodnik, a potem trener

– teraz jest nim już po raz czwarty.

Ma swój pomnik

Miejsce rozegrania spotkania, czyli dzielnica Kadikoy, to azjatycka część miasta. Przeprowadzonym promem na drugą, europejską część to pół godziny i 60 lirów – niecałe 5 złotych. To najludniejsza część wielomilionowego Stambułu, liczy

prawie pół miliona osób. Wokół stadionu od niedziału mnóstwo policji. Jak mówią miejscowi, tak jest zwykle i mecz nie ma tutaj znaczenia. Spotykam jednego z kibiców Fenerbahce. – Jestem z Niemiec, ale kibicuję Fener. Przyjechałem do rodziny do Samsun, a teraz jestem na meczu. Czy kibice Górnika muszą się obawiać? Nie, nie ma czego – pod-

kreślał, ale zaznaczał, że z powodu odległości aż tak często na Chobani Stadium Fenerbahce Sükrü Saracoglu (nazwa sponsorska) nie bywa.

Przed stadionem obowiązkowo pomnik Mustafy Kemala Atatürka, twórcy nowoczesnej Turcji, kogoś takiego jak u nas Józef Piłsudski, a także czterech zawodników, w tym legendarnego napastnika Leftera Küçükandoyadisa (Grek z pochodzenia). To strzelec dwóch goli dla Turcji w finałach MŚ 1954, z których ten przeciwko Korei Południowej był numer 400 w historii mundialu. To także pierwszy zawodnik znad Bosforu, który zagrał w lidze zagranicznej, we Fiorentinie, a potem w Nice na początku lat 50. Dla F. Bahce zdobył 423 bramki w 615 meczach.

Tak to w cieniu wielkiej historii odbyło się we wtorek pierwsze z dwóch spotkań w II rundzie eliminacji Ligi Mistrzów.

Michał Zichlarz, Stambuł

Stawiają na młodzież

Rozmowa z **Matejem Martinčo**, dziennikarzem sportowym w portalu MY Žilina

Jakie panują emocje na Słowacji przed meczem z GKS-em Katowice? Kto pana zdaniem jest faworytem tego dwumeczu?

– Możemy spodziewać się interesującego spotkania. Zazwyczaj, gdy słowackie zespoły grają w europejskich pucharach z polskimi, mamy do czynienia z ekscytującym starciem. Co więcej – Żylinę i Katowice dzieli tylko dwugodzinna podróż samochodem. To sprawia, że dwumecz będzie atrakcyjny dla kibiców. Dla GKS-u to będzie pierwszy mecz w nowym sezonie, natomiast MSK zdążył już zagrać dwa mecze w Lidze Europy przeciwko Hajdukowi Split. Nie chciałbym wskazywać faworyta tego meczu, ale wierzę w to, że zobaczymy jakościowy futbol i... niech wygra zespół lepszy.



Jaka jest atmosfera w Żylinie po porażce w dwumeczu Ligi Europy z Hajdukami?

– Najważniejsze jest to, że by zespół patrzył w przyszłość. W klubie dokonali analizy tego dwumeczu i przedyskutowali to, co należy poprawić. Teraz jednak Żylinę skupia się na meczu z GKS-em Katowice i włoży wszelkie siły, żeby pokazać się z jak najlepszej strony.

Czy MSK Żylinę to drużyna, która jest w stanie dostać się do fazy ligowej Ligi Konferencji?

– To trudne pytanie. Filozofia klubu w ostatnich



Fabian Bzdyl (przy piłce) jest ważnym ogniwem MSK Żyliny.

latach była przejrzysta. Szansę gry w drużynie otrzymują młodzi, utalentowani zawodnicy z akademii. Grają razem z bardziej doświadczonymi piłkarzami, którzy pomagają im w adaptacji do seniorskiej piłki nożnej. A spotkania w europejskich pucharach są kolejnym cennym doświadczeniem. Tak naprawdę wszystko może się wydarzyć. Ostatni raz Żylinę zagrała w fazie grupowej europejskiego pucharu dość dawno, bo jesienią 2010 roku, kiedy

awansowała do Ligi Mistrzów. Jeśli w tym roku uda jej się znaleźć w Lidze Konferencji, będzie to duże osiągnięcie.

Co jest największym atutem zespołu? Czy jest jakiś zawodnik, na którego powinniśmy zwrócić szczególną uwagę podczas oglądania meczu?

– Najważniejszą siłą Żyliny jest team spirit i gotowość do walki, poświęcenia się dla kolegi z zespołu. Nie chciałbym wyróżniać jednego konkretnego zawod-

nika – zespołowość jest najważniejsza.

A jakie są największe bołączki MSK Żyliny?

– Na to pytanie muszą już odpowiedzieć zawodnicy GKS-u Katowice (uśmiech).

W lipcu 2025 roku na stanowisko trenera Żyliny został zatrudniony Pavol Stano, człowiek doskonale znany w Polsce, gdzie występował na boiskach jako piłkarz i był też trenerem Wisły Płock oraz Górnika Łęczna. Jak pan

ocenia jego pracę w Żylinie?

– Pavol Stano już był szkoleniowcem zespołu w latach 2020-21. Latem 2021 roku przegrał dwumecz z FK Jablonec o miejsce w fazie grupowej Ligi Konferencji. Teraz powrócił na stanowisko szkoleniowca i nie miał najłatwiejszego zadania. Przyjechał do Żyliny po szybkiej rezygnacji z funkcji Petra Rumana (został zatrudniony 1 lipca 2025 roku, a 10 dni później zgłosił rezygnację z powodów osobistych – przyp. red). Dołączył więc do zespołu w środku przygotowań do sezonu, na krótko przed tym, jak zespół wyruszył na obóz do Austrii. Zbliżał się też mecz Żyliny z Rakowem Częstochowa w europejskich pucharach. Zadanie miał więc trudne, ale znał otoczenie i zawodników, więc poradził sobie z tą sytuacją bardzo dobrze. W lidze zespół utrzymał miejsce blisko czołówki. Na pewno lepszym okresem w trakcie rozgrywek była jesień, wiosna była nieco gorsza. Biorąc jednak pod uwagę wszystkie okoliczności, Pavol Stano wykonał świetną pracę. Zakończył sezon zwycięstwem w Pucharze Słowacji, w którym Żylinę pokonała FC Koszyce 3:1 na swoim stadionie. Osiągnęła sukces, po raz pierwszy od dziewięciu lat zdobywając trofeum na krajowym podwórku! Mecz z GKS-em Katowice na pewno będzie szczególnie dla trenera, właśnie przez pryzmat tego, że pracował on w Polsce.



Pavol Stano nie jest jedynym człowiekiem związanym z Polską, który reprezentuje MSK Żylinę. W drużynie od prawie roku jest 18-letni Fabian Bzdyl, Polak, pomocnik, który wychował się w Cracovii. Jak radzi sobie w lidze słowackiej? Czy się rozwija?

– Fabian Bzdyl bardzo szybko zdomował się na Słowacji i stopniowo stawał się podstawowym zawodnikiem pierwszego składu. Pod koniec sezonu zdobył nawet pierwszego gola w lidze słowackiej. Co ciekawe, o poranku w dniu meczu, w którym trafił do siatki, był w Polsce, w Krakowie, ponieważ zdawał egzamin maturalny! Gra tak, że trudno go nie zauważyć na boisku. Z piłką potrafi robić wyjątkowe rzeczy. A chcę też zauważyć, że dobrze zaprezentował się w UEFA Youth League. W fazie pucharowej, w meczu domowym z Liverpoolem, zdobył wyrównującego gola pod koniec pierwszej połowy, a Żylinę ostatecznie wygrała 2:1 i awansowała do kolejnej fazy zmagania. Bzdyl jest świetnym, utalentowanym piłkarzem i obiecująco wygląda jego przyszłość. Zobaczymy, jak długo Żylinę będzie w stanie zatrzymać go u siebie.

Rozmawiał Kacper Janoszka

Ekscytacja i szacunek

Dziś piłkarze GKS-u Katowice wyruszają w drogę do Żyliny, żeby jutro być w pełni gotowi na pierwszą odsłonę starcia w europejskich pucharach.

GKS KATOWICE

P przed GKS-em Katowice ostatnie godziny przed wyjazdową rywalizacją z MSK Żyliną. Drużyna Rafała Góraka dziś odbędzie ostatni trening i wyjedzie na Słowację. Tam spędzi jedną noc i już w czwartek o godzinie 20.30 wyjdzie na murawę, żeby rozegrać pierwszy od 23 lat mecz w europejskich pucharach.

Starcie z MSK Żyliną jest bardzo korzystne dla kibiców z Katowic, przed którymi zaledwie dwugodzinna trasa samochodem na Słowację. Dla zespołu Rafała

Góraka porażka Żyliny z Hajduk Split w pierwszej rundzie eliminacji Ligi Europy (stąd starcie GieKSy ze słowacką drużyną) też była pewnym ułatwieniem organizacyjnym. – Pod względem logistycznym na pewno wynik dwumeczu Hajduk – MSK Żyliną był dla nas pozytywny. Łatwiej nam jest dojechać na Słowację, tym bardziej że w niedzielę zagramy kolejny mecz w lidze, przeciwko Wisłowi Kraków. Z tego punktu widzenia dobrze się stało. A jeżeli chodzi o czysto sportowe sprawy – w zeszłotygodniowym meczu były momenty,

w których Hajduk był lepszy, ale były też takie, w których Żyliną przejmowała inicjatywę – powiedział trener GKS-u Katowice, Rafał Górak. Szkoleniowiec Katowiczan w rozmowie ze „Sportem” przekazał, że przygotowania do meczu odbywały się w ramach znanej już procedury. – Do tego meczu przygotowaliśmy się tak, jak do tych ekstraklasowych. Przeanalizowaliśmy rywala, przypatrywaliśmy się mu podczas ostatnich spotkań, byliśmy też w Żylinie na meczu. Nic nie wyszło poza nasze standardowe ramy – podkreślił opiekun GieKSy.

A jakie emocje towarzyszą trenerowi na kilkadziesiąt godzin przed debiutem w europejskich pucharach w roli szkoleniowca? – Czuję totalną ekscytację i to jest dobre, tak ma być. Jest we mnie masa radości, ale odczuwam też szacunek dla rywala. Wszystko razem jest na takim poziomie emocji, jak w momencie, gdy byliśmy beniaminkiem ekstraklasy, czy gdy zaczynaliśmy drugi sezon na najwyższym szczeblu – stwierdził Górak. Nastroje w Katowicach przed powrotem na europejskie salony są więc znakomite. A jeśli zespół dobrze rozpocznie sezon na Słowacji, humory będą jeszcze lepsze.

Kacper Janoszka

0 miejsce w Champions League

EUROPEJSKIE PUCHARY

Wczoraj polskie drużyny z 11. miejsca w rankingu FIFA zaczęły występy na boiskach Starego Kontynentu. Dzisiejsze zapewnia występ jednego klubu w najważniejszych rozgrywkach. Dobre wyniki polskich klubów w ostatnich latach skutkowały systematycznymi postęпами w europejskiej hierarchii. Dwa lata temu to było dopiero 21. miejsce, a na koniec sezonu 2024/25 już 15., głównie dzięki postawie Legii i Jagiellonii, które dotarły wtedy do ćwierćfinału Ligi Konferencji. Wówczas też polskie kluby zapracowały na to, że w tym sezonie – ranking UEFA działa z rocznym przesunięciem – w europejskich pucharach po raz pierwszy w historii wystąpi ich aż pięć.

Poprzedni sezon Polska zaczęła na 13. miejscu w rankingu krajowym, ponieważ odpadł jej skromny, zaledwie czteropunktowy, dorobek z edycji 2020/21, a w czterech kolejnych latach było już tylko lepiej. W październiku 2025, dzięki awansowi czterech ekip do fazy grupowej Ligi Konferencji, Polska osiągnęła 12. pozycję i na niej zakończyła sezon, choć w międzyczasie awansowała nawet na 11. miejsce (42,125), między 10. Czechami (43,025) a 12. Grecją (40,412). Walka o 10. pozycję jest kluczowa, gdyż ona z urzędu zapewnia występ jednego klubu w fazie zasadniczej prestiżowej i lukratywnej Ligi Mistrzów, na co Polska czeka już od jesieni 2016 roku, kiedy grała tam Legia. Jest więc o co grać!



Brunes znów będzie miał focha?

Korzystna sprzedaż Norwega to jeden z głównych celów Rakowa tego lata. Jeden klub mocno zabiega o tego piłkarza, ale musiałby jeszcze trochę dolożyć do obecnej oferty. Co najmniej milion euro.

Braut Brunes jesienią chciałby cieszyć się z goli w innej lidze niż ekstraklasa.

RAKÓW CZĘSTOCHOWA

Wiele wskazuje na to, że w Rakowie mogą przeżyć powtórkę z rozrywki. O co chodzi? Mający niezwykle wysokie mniemanie o sobie napastnik, będący kuzynem jednego z najlepszych na świecie obecnie graczy na tej pozycji, może zastrajkować, jeśli klub nie zgodzi się na jego transfer. A ten na razie jest raczej dalej niż bliżej, ale po kolei.

Grymasy Norwega? Znamy

Jakiś czas temu ofertę za kuzyna Haalanda złożyło Częstochowianom Dinamo Zagrzeb. Chorwaci chcieli, Raków chciał, ale Norwe-

ga nie interesowało granie w kiepsko opakowanej lidze chorwackiej. Teraz ofertę złożyła Sparta Praga. Brunes chce, Czesi chcą, ale pięć milionów euro, które oferują, jest nie do zaakceptowania dla Rakowa. Częstochowianie rozpoczęli negocjacje z wysokiego „c”, krzycząc sobie za zdobywcę 16 bramek w poprzednim sezonie ekstraklas 7,5 mln euro. Prażanie powiedzieli na to cztery, a ich obecna oferta – „w połowie drogi” i jak zapowiadają ostateczna – opiewa na 5,2 mln. Absolutne minimum, na które miałby się zgodzić Michał Świerczewski, to 6 milionów plus atrakcyjne bonusy. Czy Czesi będą w stanie podnieść ofertę? Zarzekają się, że nie, a przy Limanowskiego „dla zasa-

dy” nie zgodzą się sprzedać jednego z najlepszych graczy ligi i swojej największej gwiazdy za mniej. Impas zatem trwa w najlepsze, a zawodnik, który chce się ewakuować z Polski, kulturalowo znów zapowiada „włoski strajk” przerabiany już pod Jasną Górą za czasów Marka Papszuna i słynnej „afery tortowej”.

Swoją drogą ciekawe, że gardzący ligą chorwacką i niezwykle utytułowanym klubem, jakim jest Dinamo, Norweg ma takie parcie na przejście do Sparty, która w kraju nad Wełtawą w ostatnich latach jest w dużym cieniu lokalnego rywala, Slavii (swego czasu drugi praski klub również interesował się Brunsem). O ile bowiem sportowo czołowe

kluby czeskie z pewnością przewyższają odpowiedników z naszej ligi, to już otoczka, opakowanie i całkowicie hów czeskiej Chance Ligi jest zdecydowanie na niższym poziomie niż ekstraklasy.

Warianty zastępcze

Lista w rubryce „przyszli” nie jest w Rakowie jeszcze zamknięta. Na radarze znajduje się dwóch środkowych obrońców, wahadłowy oraz... trzech napastników. Żaden z transferów nie jest jednak na tyle blisko, aby sfinalizować go przed nieodłączną inauguracją ligową z Wisłą Płock (godz. 14.45).

Prowadzenie rozmów z tak liczną grupą snajperów wskazuje jednak na to, że w Częstochowie będą

mocno zdeterminowani na sprzedaż Brunesa, nawet już w trakcie rozgrywek. Z tą myślą sprowadzony został Mahir Emreli. 61-krotny reprezentant Azerbejdżanu miałby wówczas nieco czasu na wprowadzenie do zespołu. Poprzedni sezon w Kaiserslautern miał bardzo kiepski (jeden gol w 2. Bundeslidze), ale w rozgrywkach 2024/25, reprezentując Norymbergę, wyglądał nieźle (10 goli). Ryzyko niepowodzenia tego transferu jest niewielkie, bo byłby gracz m.in. Legii trafił na Limanowskiego na zasadzie bezpłatnego wypożyczenia. Niemcy będą się również dorzucać do wypłaty Azera. Jeśli Emreli by się w Rakowie sprawdził, w Częstochowie zagwarantowali sobie rów-

nież całkiem atrakcyjny wykup piłkarza.

Wiele wskazuje również na to, że o minuty powalczy Adam Basse, który w ostatnim czasie dokonał sporego progresu, co najlepiej było widać na obozie przygotowawczym. Potrafi utrzymać się przy piłce, a ta szuka go w polu karnym. Na ten moment Raków nie zamierza wypożyczać zawodnika, który poprzedni sezon spędził w drugoligowym Hutniku Kraków (cztery gole w 12 meczach). Jeśli pod koniec okienka pojawi się opcja wypożyczenia do klubu, gdzie będzie miał zagwarantowanych sporo minut, być może dostanie zielone światło, ale na ten moment ma dostać szansę w drużynie Dawida Krocza.

Mariusz Rajek

Czas na wjazd do ekstraklasy. Z futryną?

Kariera Wieczystej, o której dekadę temu prawie nikt w Polsce jeszcze nie słyszał, jest zdumiewająca. Czy teraz, po wzniesieniu się nad atmosferę, w ligowym kosmosie dojdzie do zderzenia z rzeczywistością, czy raczej wręcz przeciwnie?

WIECZYSTA KRAKÓW

To jedyny klub w ekstraklasie, który został założony w trakcie II wojny światowej. Kraków był wtedy pod butem hitlerowskiego okupanta, który całkowicie zdelegalizował rozgrywki futbolowe w Polsce na terenie Generalnego Gubernatorstwa. Wieczysta jednak na to się nie oglądała, więc już na starcie zapisała chlubną kartę. Kartę, którą – wydawałoby się – znać będą tylko nieliczni. Kraków to bowiem wspaniałe miasto futbolu, z ogromnymi tradycjami, gdzie namiętność wokół Wisły i Cracovii, wielokrotnych mistrzów Polski, tak się panoszy, że ledwie starcza jej dla jeszcze jednego krakowskiego mistrza – Garbarni, która może jednak jedynie marzyć o powrocie do najlepszych, może marzyć, żeby trafił się jej dobry, bogaty wujek – taki, jaki właśnie trafił się Wieczystej.



Fajnie, ale to już było. Niektórych z tych ludzi już w Wieczystej nie ma. Jesteś tak dobry, jak twój następny mecz.

Trampolina dzięki milionerowi

Klub z rozgrywkowych dołów wygrał bowiem los na loterii – czytaj: zaangażowanie milionera, który nie wahał się i ciągle nie waha włożyć w klub mnóstwo pieniędzy. Dzięki Wojciechowi Kwietniowi, chroniącemu prywatność krakowskiemu przedsiębiorcy i właścicielowi około dwustu aptek

w kraju, Wieczysta zagra w ekstraklasie. Takich historii w polskim futbolu zdarzyło się nie za wiele, a związanych z klubami z czołowej rozgrywki, wręcz z ligowego Rowu Mariańskiego – to rzadkość (Nieciecza, klub o podobnej historii, właśnie spadł z ekstraklasy). Warto sobie przed startem w ekstraklasie uzmysłowić wykonany rajd po ligach, a zwłaszcza jego

tempo, a więc drogę Wieczystej z opłotków na salony. Dziesięć lat temu bujała się przecież ledwie na siódmym poziomie.

2016/17 – pierwsze miejsce w klasie A, z jednopunktową przewagą w tabeli nad drugą w tabeli Bibiczką Bibice, w efekcie awans do okręgówki. Do 2021 przeżuwanie tego awansu i nabieranie pewności oraz przygotowywanie się do kolejnego tygrysięgo skoku;

2020/21 – pierwsze miejsce w klasie okręgowej z szesnastopunktową przewagą nad drugą w tabeli Prądnicką Kraków, w efekcie awans do IV ligi. Wieczysta już wszystko wie i nie musi niczego przeżuwać;

2021/22 – pierwsze miejsce w IV lidze z jedena-stopunktową przewagą nad drugimi w tabeli Wiślanami Jaśkowice, w efekcie udział w barażach o grę w III lidze – w nich Wieczysta rozbiła dwa razy rezerwy Bruk-Betu Ter-

maliki Nieciecza, u siebie 4:0 (cztery gole Macieja Jankowskiego), na wyjeździe 3:0;

2023/24 – po trzecim miejscu w pierwszym sezonie na poziomie III ligi, w drugim już pierwsze miejsce z ośmiopunktową przewagą nad Siarką Tarnobrzeg i w efekcie awans do II ligi;

2024/25 – trzecie miejsce w II lidze, co dawało udział w barażach o I ligę, w nich dwa zwycięstwa u siebie – najpierw 3:1 z KKS-em Kalisz, a potem 2:0 z Chojniczką i w efekcie awans do I ligi;

2025/26 – trzecie miejsce w I lidze, co dawało udział w barażach o ekstraklasę. W nich dwa zwycięstwa u siebie – najpierw 3:2 z Polonią Warszawa, a potem 2:1 z Chrobrym Głogów i w efekcie awans do ekstraklasy.

Tempo wzrostu i zestaw wyprzedzonych po drodze rywali robią na mnie wrażenie. W kontekście podróży Wieczystej przez świat zasadne wydaje się postawić

pytanie, nawet jeśli tylko dla potrzeb romantycznego powiewu: czy ten krakowski klub jest w stanie wjechać z futryną do ekstraklasy? Moim zdaniem tego nie wie nikt.

Pożegnania, powitania

Z pewnością jest to już klub, który nie zachłystuje się nazwiskami, to ma za sobą. Przed startem w ekstraklasie z zimną krwią pozbył się piłkarzy o uznanych nazwiskach, którzy coś dla niego zrobili – Michała Pazdana (były reprezentant Polski, trzy sezony w Wieczystej, wcześniej trzy mistrzostwa Polski), Macieja Gajosa (sezon w Wieczystej, wcześniej dwa Superpuchary Polski) czy Rafała Pietrzaka (były reprezentant Polski, trzy sezony w Wieczystej, teraz rezerwy). Futrynę ekstraklasową mają pomóc wziąć ze sobą już raczej cudzoziemcy – Norweg (Christensen, środkowy pomocnik), Chorwaci (Dujmović, stoper i Milić, pomocnik) czy Szwajcar o kongijskich korzeniach (Lungoyi, skrzydłowy). Znak czasów...

(pac2)

Nie płacz, kiedy odjadę...

Okienko transferowe zamknie się za osiem tygodni, ale od dawna wiemy, że wiele ważnych postaci minionych miesięcy na naszych boiskach nie zobaczymy. Za kim będziemy tęsknić najbardziej?

Piłkarski rynek próżni nie znosi. Zainteresowanie nim nakręcają nie tylko mundialowe czy pucharowe mecze, ale też „ruch w interesie”, czyli roszady w kadrach zespołów. Ekstraklasa tego lata straciła kilka ważnych – błyskotliwych lub po prostu solidnych piłkarsko – postaci. Paru z nich będzie nam brakować...

Koniec przytulania

- Coś się dziś w piękny sposób skończyło. To już jest koniec; i smutek, bo odchodzi wspaniały piłkarz i człowiek – tak Adrian Siemienieć, trener Jagiellonii, publicznie żegnał Afimico Pululu. To chyba największa gwiazda ligi, która ją opuszcza. Nie bez żalu (patrz wyimek), ale też z konkretnym celem: zrobienia kroku w przód w kierunku topowych lig Europy. Nieprzypadkowo po Białymstoku niosły się pogłoski o zainteresowaniu Hiszpanów z Rayo Vallecano czy Espanyolu; wszak z „południowcami” rozumiał się w Dumie Podlasia świetnie. Boiskowo, i tak zwyczajnie, po ludzku. O tym też nie omieszczał wspomnieć opiekun Jagi. - Drużyna nie będzie taka sama. Jesus Imaz nie poda do Pululu, nie będzie zdejmował z niego presji przed karnym, nie będą się przytulać i uśmiechać po golach, podawać do siebie w kombinacjach... - wdychał, wyliczając zupełnie niemierzalne wartości napastnika.

Niemierzalne charakterologicznie, ale całkiem wymierne w sensie finansowym. Milion euro na rok – na ten poziom zarobków chciałby wejść Pululu. Oczywiście „kaprys” właściciela Widzewa czy sponsora Wieczystej – ładnie wyglądają w mediach zestawienia nazw tych klubów z nazwiskiem Kongijczyka – mogłyby te oczekiwania zaspokoić i zachować go dla polskiej piłki ligowej. W Białymstoku na takie sugestie odpowiadają jednak dość konkretnie: „Pulu strzelał gole w ćwierćfinale europejskich pucharów, był królem snajperów Ligi Konferencji, zdobył mistrzostwo i Super-



Prawda, że takie zapasy dobrze się oglądało? Radovan Pankov kontra Afimico Pululu już się w ekstraklasie szarpać nie będą...

puchar Polski. Co on miałby tu jeszcze osiągnąć?”. Ale akurat w przypadku Pululu niczego nie przesadzamy w sposób ostateczny; tym bardziej, że umowy wciąż nie podpisał, z czołówek gazet i portali spadł już dawno, a zamiast wspomnianych klubów hiszpańskich czy belgijskiego Cercle Brugge, zaczęły się przy jego nazwisku pojawiać nazwy saudyjskie i rosyjskie. Czyżby sportowe ambicje, o których mówił, jednak miały ustąpić (szeszczącej banknotami) prozie życia?

Jak już jesteśmy przy Dumie Podlasia, odnotujmy jeszcze wyjazd Bartosza Mazurka do Salzburga. Trzy bramki we Florencji zapadły Europie w pamięć, a my możemy żałować, że nie będziemy z bliska oglądać jego piłkarskiego rozwoju. W tych samych kategoriach ocenić trzeba transfer Jana Leszczyńskiego do Moenchengladbach. Niby niczym wielkim jeszcze się w lidze nie zapisał, a jednak żal...

Kasa, misiu, kasa...

A propos Legii. Polską ligę opuścili też Juergen Elitim oraz Radovan Pankov. - Chciałem, żeby pozostali, ale nie byliśmy w stanie podołać finansowo temu wyzwaniu. Oferty, które otrzymali, były nie do przebiccia – tak Ma-

ZAPAMIĘTAMY...

Mam świadomość, że ludzie tutaj mnie kochają i wspierają przez cały czas. Nawet gdy gram gówniany mecz, stoją za mną. Kocham też Białystok, ale zdecydowałem się odejść, bo mam marzenia, które chcę realizować. Chcę dojść w piłce najwyższej, jak się da.

Afimico Pululu na pożegnanie z Jagiellonią

rek Papszun, który minionej wiosny mocno ufał temu duetowi, z żalem komunikował rozstanie obu panów z polskimi boiskami. Kolumbijczyk też spędził nad Wisłą trzy sezony i choć nie był tak spektakularną postacią, jak wspomniany Pululu (bo i pozycja boiskowa dużo mniej spektakularna), całkiem nieźle w pamięci fanów z Łazienkowskiej się zapisze. Z kontraktem, jaki zaproponował mu beniaminek tureckiej Super Lig, Bursaspor, Legia – jak mówił Papszun – konkurować nie była w stanie.

Dla Serba również górną granicą „wytrzymałości” w PKO BP Ekstraklasie okazały się trzy sezony. Mimo intensywnych nacisków ze strony byłego już dyrektora sportowego warszawian, Michała Żewłakowa, postanowił zmienić otoczenie. Korea Południowa (Jeonbuk Hyundai

Motors) jeszcze wyglądała nieźle, ale czy Persija Dżakarta na pewno oznacza rozwój sportowy Serba? Hm...

Z czego go zapamiętamy? Jak to ludzi z Bałkanów – z gorącej krwi (nie zawsze na boisku – przypominacie sobie reakcję już za linią boczną po drugiej żółtej kartce w meczu z Lugano albo zamieszanie pod szatniami w Alkmaar, którego stał się czynnym uczestnikiem?) i... zadziwiającej czasami łagodności arbitrow dla jego bezkompromisowości (Bartoszewi Nowakowi do dziś włos się jeży na wspomnienie „wślizgu” stopera na Nowej Bukowej). Następca Pankova – zakontraktowany już Zoran Arsenić – tak twardych kości raczej nie ma...

Zgrzyty

Za każdym z dotąd wymienionych graczy wdzy-



Lukas Podolski kontra Juergen Elitim – każdy z nich miał momenty godne zapamiętania na ekstraklasowych boiskach.

ZAPAMIĘTAMY...

Mam swój styl, charakter. Chcę dać z siebie maksimum, by na koniec wygrać mecz. Czasem trzeba zrobić faul taktyczny, żeby nie padł gol. Czasem to boli, trudno. Z sędzią też kłócę się tu i teraz, bo po meczu będzie za późno. Walczę o swoje. Czasem trzeba być „ciulem” na boisku.

Lukasa Podolskiego motto boiskowe

chać będą kibice, ale i działacze klubów, których barwy reprezentowali. W Częstochowie to westchnienie będzie raczej jednostronne: z trybun, a nie z gabinetów. Bo to w tych ostatnich zapadła decyzja, że po sześciu latach i dokładnie 50 golach ligowych w dalszą podróż za szczęściem futbolowym ruszać może Ivi Lopez. Dał Rakowski wszystko, co dać można na krajowym gruncie: mistrzostwo, Puchar i Superpuchar, sobie zostawił koronę króla strzelców i miano „Piłkarza sezonu” – oba trofea zgarnął w 2022. To był czas, w którym piłkarz z trenerem (Markiem Papszunem) „pili sobie z dzióbek”. Druga przygoda szkoleniowca z klubem spod Jasnej Góry przyniosła już jednak szereg zgrzytów wokół wywiadów oraz wpisów Hiszpana w mediach społecznościowych.

Kibice jednak wybaczą swemu idolowi wszystko. I będą po nim płakać bardziej niż po jakimkolwiek innym zawodniku drużyny w „nowożytnej epoce” historii Rakowa. On sam zaś doskonale wie, że po serii kontuzji jego futbolowa „atrakcyjność” nawet na hiszpańskim rynku drugoligowym spadła. Może wystarczy jej na jakąś słabszą – acz dobrze płacącą, bo to pewnie będzie jego ostatni duży kontrakt w życiu – ligę? Na przykład bliskowschodnią? Na razie sam zawodnik w „socjalach” dzielił się jedynie wrażenia-

mi z pobytu na Krecie; cóż czas urlopowy trwa...

Milion. Na głowie

No i na koniec pożegnanie, które... wcale pożegnaniem nie jest. Lukasa Podolskiego – najbardziej utytułowanego piłkarza, jaki kiedykolwiek zagrał w ekstraklasie, nie zobaczymy już na murawie Areny Zabrze; nie zostanie więc najstarszym autorem bramki w polskiej elicie. Ale nie zniknie z radarów kibiców. - OK ja jestem trenerem, a on moim zawodnikiem, ale od początku było jasne, że Lukas Podolski w Górniku to coś więcej. Piłkarze zazwyczaj koncentrują się tylko na swoich występach na treningu i na tym, co zrobić, by dobrze zagrać, a „Poldi” oprócz tego ma milion rzeczy na głowie – jeszcze przed końcem sezonu (i przed końcem negocjacji na temat kupna Górnika od gminy Zabrze) mówił trener obecnych wicemistrzów Polski, Michał Gašparik.

Mistrz świata sprzed 12 lat będzie się teraz poniekąd uczyć zarządzania klubem – wymagającego być może jeszcze „większego maksimum” niż to, o którym mówi w przytoczonym obok cytacie. Wchodzi do gabinetowej gry w dobrym momencie: gdy Zabrzańcy mają szansę pokazania się w Europie. Złote myśli Podolskiego z pewnością więc z medialnych łamów nie znikną; oby frajda z nich przełożyła się także na frajdę z wyników drużyny na murawie!

Dariusz Leśnikowski

ZAPAMIĘTAMY...

*Przepraszam, że to powiem, ale czujemy się ***. Co innego można czuć po takim meczu? Mój gol? Nie ma znaczenia. Zamieniłbym wszystkie gole na zwycięstwo w meczu. Mówię to z głębi serca. Nie liczę goli, liczę zwycięstwa.*

Radovan Pankov charakternie o meczowych celach

ZAPAMIĘTAMY...

Dziękuję klubowi za to, że dał mi szansę zagrać tutaj w najgorszym momencie mojego życia. Przyjechałem i od razu zrozumiałem, że to miejsce to prawdziwa rodzina. Zrozumiałem, że jeśli będziemy zjednoczeni, możemy osiągnąć wszystko to, co ostatecznie osiągnęliśmy (teraz o to trudniej, sami widzieliśmy). Odchodzę stąd z bagażem niesamowitych wspomnień, tytułów i potężnych emocji.

Ivi Lopez wyjeżdżając z Częstochowy

Czasami trzeba komuś powiedzieć „dobrze”

Rozmowa z **Konradem Geregą**, trenerem Polonii Bytom

Za wami ostatni tego lata sparing – nietypowy, bo 135-minutowy, wygrany z KSZO Ostrowiec Świętokrzyski. Jaka ocena dla drużyny?

- Nie chcę popadać w skrajności, bujać się od ściany do ściany. Było 4:0, więc drużyna dostaje czwórkę w skali szkolnej. Było kilka bardzo dobrych momentów; ale zostawiamy sobie przestrzeń, że możemy być lepsi. Bo możemy - musimy! - być lepsi szczególnie w tych momentach, kiedy nie kontrolujemy spotkania, kiedy dajemy wpleść sobie chaos w naszą grę. A nad chaosem ciężko zapanować. Natomiast generalnie z dużym optymizmem podchodzę do pierwszej kolejki. I z dużym spokojem.

Po dwa gole zdobyli Kamil Wojtyra i Mateusz Wzięch. Ten drugi to nowa postać. Mocny kandydat do jedenastki ligowej?

- Powiem tak: na pewno Mateusz powinien być zadowolony z okresu przygotowawczego. Wygląda bardzo dobrze, przekuwa to na liczby i jesteśmy z tego zadowoleni. Ja byłem zwolennikiem sprowadzenia Mateusza, bo znam jego potencjał. Jego sufit jest w mojej ocenie jeszcze wyżej niż to, co teraz pokazuje. Czy będzie pod-



Tomasz Gajda (z prawej) – tu jeszcze w koszulce Polonii, w meczu z Odrą – od paru tygodni jest już w rodzinnym Opolu.

stawowym zawodnikiem? Wszystko na to wskazuje.

Mówi pan o swym zaufaniu do tego piłkarza. Czym podopieczny z rezerw ŁKS-u przekonuje pana?

- Najważniejszą cechą Mateusza jest to, że potrafi strzelać bramki. Pokazuje to cały czas, nie tylko w sparingu z KSZO, ale też na treningach, i na poprzednim spotkaniu kontrolnym w Opawie. Wierzę bardzo mocno w niego

i wiem, że jest w stanie dać nam to, czego potrzebujemy, czyli regularność w zdobywaniu goli. Kolejną zaletą Mateusza jest to, że może grać na trzech pozycjach, m.in. na „dziewiątkę”, ale i na „ósemkę”, co udowadniał zarówno w rezerwach ŁKS-u, jak i w pierwszym zespole.

W ŁKS-ie nie poznano się na jego talentach? Grał bardzo niewiele w pierwszej lidze...

- Trochę zahamowała go kontuzja; w grudniu przeszedł zabieg w okolicy stawu barkowego, więc nie do końca był rozchwytywany na rynku. Natomiast ja jestem pewien, że Mateusz jest w stanie sprostać wyzwaniu, jakie niesie przede wszystkim gra w Polonii i w pierwszej lidze.

Wzięch to jedna z nowych twarzy w drużynie. Zastąpić trzeba za to nie byle

kogo: Oliwier Kwiatkowskiego, Jakuba Apolinarskiego, a przede wszystkim Tomasza Gajdę. Trudna sprawa?

- Pracujemy nad tym. Wiemy, jak wartościowi to byli zawodnicy, stanowili o sile zespołu. Dlatego ci piłkarze, którzy do nas dołączyli, mają bardzo wysoko zawieszoną poprzeczkę. Muszą jednak sprostać wyzwaniu, bo po to ich sprowadziliśmy. Dużo z nimi pracujemy; chcemy, żeby byli lepsi, i będą lepsi! Ale musimy dać im chwilę, bo wejść w buty Tomka Gajdy to nie jest łatwa rzecz.

Kwiatkowski odszedł przed rozpoczęciem przygotowań. Dwóch pozostałych miał pan jednak przez parę tygodni na zajęciach. Trzeba było wiele zmieniać po ich odejściu, kiedy zostali wyjęci z procesu treningowego drużyny?

- Dużo z nimi rozmawiałem i wiedziałem mniej więcej, jak sytuacja wygląda. Był już moment, w którym Tomek był przekonany, że zostanie u nas. A ja – znając ich wartość piłkarską i osobowościową – ustawiałem wszystko pod nich, bo wierzyłem, że zostaną. Natomiast czasami trzeba komuś powiedzieć „dobrze”, żeby był po prostu szczęśliwy. To



były transfery gotówkowe, więc i klub – jak sądzę – powinien być zadowolony, bo za tych dwóch zawodników wpłynęły odpowiednie pieniądze. Zostaną dobrze spożytkowane, a my po prostu musimy znaleźć następców. Skupiam się więc na tych chłopakach, którzy są w Polonii. Każdy z nich jest wartościowy, każdy potrafi grać w piłkę, każdy ma serducho do gry, każdy jest ambitny, głodny. Nie ma ludzi niezastąpionych, stworzyła się w zespole nowa przestrzeń dla nowych chłopaków.

Tomek Gajda był liderem na boisku i w szatni. Świadczyła o tym opaska kapitańska, którą nosił. Kto go zastąpi w tej roli?

- Zostawiam to zespołowi. Myślę, że szatnia doskonale czuje, kto powinien nosić opaskę kapitana. Zespół jest na tyle świadomy swojej wartości i wartości każdego z chłopaków, że wybierze odpowiednią osobę.

Rozmawiał Dariusz Leśnikowski

O co chodzi z Sikorą?

Obecna sytuacja „Sikora” w Ruchu budzi wiele wątpliwości i kontrowersji. Czy słusznie?

RUCH CHORZÓW

Dzień 20 kwietnia 2024 był okazją nie tylko do świętowania 104. urodzin Ruchu i zagrania z Widzewem przy ponad 50-tysięcznej publiczności na Stadionie Śląskim. Był to także ostatni występ Patryka Sikory z „eRką” na pierś. W samej końcówce ubierający wówczas opaskę (drugiego) kapitana pomocnik zerwał więzadła krzyżowe, rozpoczynając trwającą do dziś odyseję w kierunku powrotu na boisko. Kiedy dobiegnie końca?

Niekorzystne położenie

„Sikora” blisko powrotu do gry był zimą 2024/2025, ale w trakcie obozu w Turcji znowu nabawił się kontuzji kolana – innej, ale również, a może i bardziej skomplikowanej. Wcześniej – lecząc więzadła i po przejściu Tomasza Foszmańczyka na emeryturę

– został mianowany oficjalnym kapitanem Ruchu. W tej formalnej roli nigdy jednak nie wystąpił. Nigdy też... nie zagrał pod wodzą trenera Dawida Szulczka, bo klub zdążył go zatrudnić i zwolnić, a Sikora ciągle przebywał w lekarskich gabinetach. W zeszłym sezonie stracił też opaskę, a formalnym kapitanem został i tak go w tej roli zastępujący Szymon Szymański. Poważny znak zapytania stał obok przyszłości pomocnika z Mikołowa. Rok temu jego kontrakt został przedłużony, ale po kolejnym sezonie bez grania powtórzenie scenariusza nie było takie pewne. Sam pomocnik na kilka kolejek przed końcem wrzeszczał tylko ramionami pytany o tę sprawę, będąc świadomym, że nie znajduje się w korzystnym położeniu. Ostatecznie przedłużenie nastąpiło, do czerwca 2027 – ale na specyficznych zasadach.

Frytki i woda mineralna

Ruch nie bez powodu poinformował o tym przy newsach o drużynie rezerw. Sikora bowiem jest obecnie traktowany jako zawodnik „dwójki”, który – jeśli będzie się odpowiednio sprawował – może dostać szansę w pierwszej drużynie. Na ten moment – choć w ostatnich dniach... narzekał na urazy – „Sikora” jest w treningu

i walczy o miejsce w składzie. Nie można wykluczyć, że pojedzie z zespołem w niedzielę do Niecieczy. Sztab trenera Fornalika bardzo sobie ceni jego postać, także pod kątem mentalnym, „niebieskim”.

Oczywiście wielu kibiców przez wszystkie przypadki odmienia obok jego nazwiska słowo „pieniądz”, których w Ruchu w nadmiarze nie

ma. Nie ma się jednak co o nie martwić. Nie bez powodu mowa o piłkarzu formalnie drugiej drużyny. Gdyby przełożyć finansowe warunki Sikory do – przykładowo – realiów IV ligi, to... na nikim nie zrobiłyby one wrażenia. Machnięto by ręką na takie „frytki”, totalnie nieodczuwalne dla kilkunastomilionowego budżetu Ruchu. Tak jak napisałem na portalu X – przypuszczam, że Chorzowianie w skali miesiąca więcej wydają na wodę mineralną niż na Patryka Sikorę, który dodatkowo jest przymierzany do pracy z dziećmi w klubowej akademii. Aczkolwiek jeśli 26-latek będzie grał w pierwszej drużynie – wtedy w zależności od



Patryk Sikora to jeden z największych pechowców w najnowszej historii Ruchu Chorzów.

zaliczonych minut faktycznie może otrzymać trochę więcej pieniędzy.

Piotr Tubacki

VENTURA WYPADA NA DŁUŻEJ

■ Słowacki pomocnik nie wystąpi w niedzielnym spotkaniu z Bruk-Betem, którym Ruch zainauguruje sezon. Klub przekazał, że Denis Ventura „leczy uraz skrócenia stawu skokowego. Przed środkowym pomocnikiem rezonans kontrolny, który określi dalszy kierunek rekonwalescencji i plan powrotu do treningów”. Do gry wróci za około cztery tygodnie. Oznacza to, że w meczu ze spadkowiczem z ekstraklasy trener Waldemar Fornalik będzie miał... tylko trzech środkowych pomocników – Michała Chrapka, Szymona Szymańskiego i Shumę Nagamatsu. Ewentualnym wsparciem będzie młodzieżowiec Mateusz Rosół. Oprócz tego kontuzje wykluczają występy Jakuba Bieleckiego i Martina Konczkowskiego.

To dało chłopakom „kopa”

Głodnym ligowych emocji opolskim kibicom już na początku sezonu zostanie zaserwowane danie główne.

ODRA OPOLE

Do inauguracji sezonu w Opolu pozostały godziny. W piątek o 20.30 na stadionie Itaka Arena zabrzmi pierwszy gwizdek, rozpoczynający mecz Odry z Arką Gdynia. Można więc powiedzieć, że głodni piłki nożnej kibice Niebiesko-czerwonych od razu dostaną danie główne. Czy będzie lekkostrawne?

- Zapraszam kibiców i proszę o wsparcie zarówno w lepszych, jak i w gorszych momentach, bo takie na pewno w sezonie będą – mówi trener Opolan, Łukasz Tomczyk. – Liga to nie sprint. To maraton i bardzo potrzebna jest jedność, bo naprawdę dużo można zrobić, gdy wszyscy patrzą w jednym kierunku. Muszę powiedzieć, że nasi fani zbudowali mnie swoją obecnością na sobotniej prezentacji drużyny. Zresztą samo wydarzenie było bardzo okazałe; w bardzo fajnym miejscu, zaprezentowaniem koszulek meczowych, historii, filmu. Myślę, że to też dało chłopakom „kopa”.

Pigułka informacji

A trener dał swoim podopiecznym... dwa dni wolnego. - Tak naprawdę wolna była tylko niedziela – dodaje szkoleniowiec Odry. - W poniedziałek zawodnicy mieli już indywidualne zajęcia według rozpiski, a od wtorku do piątkowego rozruchu trenujemy raz dziennie na porannych zajęciach. Staramy się je układać pod Arkę, bo

choć jest to pierwszy rywal w tym sezonie i jego gra jest pewnego rodzaju niewiadomą, to jednak każdy buszuje jak może i my też coś mamy na temat gry Gdynian. Dlatego zawodnicy codziennie będą dostawać pigułkę informacji, żeby te trzy dni treningowe wykorzystać optymalnie. Przekażemy na przykład, jak Arka gra w wysokim pressingu, żeby się temu przeciwstawić.

Szansa wskoczenia do jedenastki

Na tym etapie przygotowań najważniejsze jest to, że wszyscy zawodnicy są zdrowi. - Kadra się nam poszerzyła i większość jest w pełni zdrowia – zapewnia Łukasz Tomczyk. - Pod tym kątem wszystko jest OK, ale te dwa ostatnie mecze, bo w sobotę graliśmy z Banikiem II Ostrawa i Piastem Gliwice, dały nam ostatnie odpowiedzi dotyczące wyjściowego składu. Coś w nim pewnie zmienimy i chciałbym, żeby zawodnicy też tak myśleli i na zajęciach w mikrocyklu meczowym jeszcze powalczyli. W moim rozumieniu prowadzenia drużyny treningi w tygodniu poprzedzającym mecz mogą, jeżeli będziesz dobrze pracował i się pokażesz, dać szansę wskoczenia do jedenastki.

Bez Szysza

Nie znajdzie się w niej ostatni z pozyskanych latem przez Odrę Patryk Szysz, czyli piłkarz, który w minionym sezonie... reprezentował Arkę w ekstraklasie. - Jest nieprzygotowany, nie

trenował z zespołem – tłumaczy trener Opolan. - Miał tylko jeden trening piłkarski, a pozostali trenowali już pięć tygodni. Myślę, że za pięć tygodni będzie gotowy. Gdyby wyszedł na najbliższy mecz, mógłby się „rozwalić”, tym bardziej że miał drobne urazy, a w przeszłości poważne kontuzje, które sprawiły, że praktycznie dwa lata nie grał. Będziemy go kierunkować na pozycję numer 10 i może w niektórych meczach, w których zagramy dwójką z przodu, ustawiany będzie jako napastnik. Przede wszystkim trzeba go jednak przygotować, ale obiecuję sobie po nim, że poprawi naszą grę w ofensywie, że będzie kreował sytuacje i dochodził do szans strzeleckich, czyli poprawi naszą jakość na polowie przeciwnika.

Duży przeskok

- Pozyskani wraz z nim Bartosz Biedrzycki i Franciszek Franczak to skrzydłowi. Pierwszy ma duży potencjał pod względem motoryki i przebojowości na polowie przeciwnika oraz dobrego dośrodkowania. A dla drugiego, młodego chłopaka, treningi u nas to szansa rozwoju. W sparingach było widać, że gra w naszym zespole to dla niego duży przeskok. Czas pracuje jednak na jego korzyść, a istotne jest to, że „daje” nam rywalizację wśród młodzieżowców, co pozwala całej drużynie podnosić poziom – kończy trener Tomczyk.

Jerzy Dusik



Czas mundialowej olimpiady

Najpotężniejszy człowiek w FIFA cały na złoto. A po prawej Gianni Infantino z pomysłem 64 drużyn na mundialu.

Mistrzostwa, mistrzostwa i po mistrzostwach. Przed nami czteroletni okres oczekiwania na kolejną imprezę, która – o co FIFA już zadbała – będzie... jeszcze dziwniejsza!

MISTRZOSTWA ŚWIATA

Amerykański czempionat był wyjątkowy w swojej formie. Przede wszystkim jego skład poszerzono do 48 uczestników i po raz pierwszy w dziejach był organizowany przez trzech gospodarzy. Mistrzostwa świata 2030 zaprezentują jeszcze większą skalę.

Kontynentalny rekord

8 czerwca 2030 rozpocznie się 24. mundial w historii. W teorii organizowany będzie przez trzy kraje na – to nowość – dwóch kontynentach: Hiszpanię, Portugalię oraz Maroko. W praktyce jednak gospodarzy będzie aż sześciu i to na trzech kontynentach, bo jako że mowa o jubileuszowym turnieju, który odbędzie się 100 lat po tym premierowym, FIFA postanowiła wymyślić coś „ekstra”. I tak oto pierwsze mecze odbędą się w Ameryce Południowej, konkretnie w Urugwaju (który gościł i wygrał MŚ 1930), Argentynie (wicemistrz 1930) oraz Paragwaju (gdzie mieści się siedziba CONMEBOL, czyli południowoamerykańskiej federacji, ichniejszej UEFA). Pomysł to mocno kontrowersyjny. Skoro na tegorocznym mundialu największa odległość między stadionami wynosiła cztery tysiące kilometrów (jak z Dublina do Baku), to z urugwajskiego Montevideo do marokańskiej Casablanki wynosi ponad dwieście tysięcy km!

Długo, jeszcze dłużej

To zresztą właśnie w Montevideo odbędzie się mecz otwarcia, na legendarnym Estadio Centena-

rio, arenie finału MŚ 1930, pierwszym i jak na razie jedynym „Pomniku Historii Piłki Nożnej”, które to miano nadała mu FIFA. Później jedno spotkanie będzie grane w Buenos Aires, a następnie – w Asuncion. W planie jest, aby odbyły się tam mecze pierwszych grup mundialu, po których uczestnicy... udadzą się na drugą stronę Atlantyku. Ale FIFA uspokaja – zmęczenia nie będzie! Konkretne reprezentacje dostaną bowiem dodatkowy czas wolny, wskutek czego... mistrzostwa znowu odrobinę się wydłużą i znowu pobiją rekord długości. Finał odbędzie się 21 lipca, co daje 44 dni. A jaki stadion go ugości? Jeszcze nie wiadomo. Najpoważniejsze kandydatury to Santiago Bernabeu w Madrycie i budowany dopiero Stadion Hassana II (planowana pojemność to aż 115 tysięcy miejsc, a koszt – pół miliarda dolarów).

Czas na 64 drużyny!

Jeśli nic się nie zmieni, mundial będziemy oglądać na jedenastu arenach hiszpańskich, sześciu marokańskich i trzech portugalskich – i oczywiście tych trzech amerykańskich. A zmienić... się może, dlatego że w FIFA poważnie myślą o tym, aby jeszcze bardziej poszerzyć skład mistrzostw świata, może nawet już od kolejnej edycji. Taki pomysł pojawił się w marcu zeszłego roku na zebraniu Rady FIFA, w lipcu tego roku szef światowej federacji Gianni Infantino także wypowiedział się w tej sprawie pozytywnie i spotkał się nawet z przedstawicielami CONMEBOL. Zresztą w poniedziałek (tak, przedwcześniej), prezes

ów federacji Alejandro Dominguez napisał na swoich social mediach: „Następny mundial odbędzie się u nas! W 2030 roku odbędzie się w Urugwaju, Argentynie i Paragwaju. To będzie wielka szansa dla piłki nożnej, by uczcić stulecie mundialu rywalizacją z udziałem 64 reprezentacji”. To sensacyjne doniesienie, choć... FIFA na razie tego nie potwierdza. Konta Dominguezowi nikt raczej nie shakował, tym bardziej że wpis ów zamieścił nie tylko po hiszpańsku, ale także po portugalsku i angielsku.

Po co im eliminacje?

Potem Dominguez dorzucił kolejny post: „Pracujemy nad tym, by mundial 2030 odbył się z udziałem 64 reprezentacji na честь setnej rocznicy. Piłka nożna na reprezentacji rozwija się, gdy otwiera się na świat. Rozszerzenie do 48 drużyn pokazało, że większy udział generuje więcej możliwości, wspiera rozwój piłki nożnej i czyni mundial prawdziwym globalnym świętem. Setna rocznica daje nam historyczną szansę, by wierzyć w wielkie rzeczy. Niech mistrzostwa świata będą największym świętem, jakie kiedykolwiek znała piłka nożna”.

Ciekawe to o tyle, że już w USA, Kanadzie i Meksyku Ameryka Południowa miała sześciu przedstawicieli, choć w jej eliminacjach gra... tylko 10 drużyn (a siódma może wejść przez baraże interkontynentalne). Ile więc byłoby reprezentacji przy formacie 64-zespołowym? I jak wyglądałyby ich eliminacje, skoro Urugwaj, Argentyna i Paragwaj... mają już zagwarantowany awans?

Jeszcze kilka kontrowersji związanych z MŚ spokojnie dałoby się wymienić... a przecież ledwo co zakończył się poprzedni mundial! To będą ciekawe cztery lata.

Piotr Tułacki



Trener Łukasz Tomczyk jest zbudowany wsparciem fanów i liczy na nie przez cały sezon.



★ Głos z Ameryki ★

Michał Zichlarz



Amerykańskie perypetie

Dwa hotele i dwie ulice o tej samej nazwie, odwołany samolot, stojące autobusy... Logistyka na zakończonym mundialu stanowiła prawdziwe wyzwanie.

MUNDIALOWY REPORTAŻ

Przygoda, przygoda, każdej chwili szkoda – słowa piosenki z kultowego serialu „Do przerwy 0:1” emitowanego w telewizji pod koniec lat 60., a wykonywanego przez zespół Wiślanie 69, znakomicie pasują do tego, co było za Wielką Wodą na XXIII Mistrzostwach Świata w Piłce Nożnej.

Trzygodzinne czekanie na kontrolę paszportową na lotnisku JFK po przylocie do Nowego Jorku czy kłopot z przełącznikiem do prądu (inna wtyczka!) to były igraszki w porównaniu z tym, co miało miejsce później. To – po RPA 2010, Rosji 2018 i Katarze 2022 – były moje czwarte mistrzostwa świata, ale takich kłopotów jak za Atlantykiem jeszcze nie miałem. Teraz wszystkiego się namnożyło, choć przy takiej hardkorowej jeździe, odległościach oraz napiętym grafiku można się było tego spodziewać. Oto kilka przygód, które tam przeżyłem...

Przygoda numer 1. Lotnisko w Atlancie

W czwartek 18 czerwca polecałem na spotkanie Czechy – RPA do Atlanty. Z Nowego Jorku to 865 mil, czyli około 1400 kilometrów, jak z Wrocławia do Londynu. Można jechać autobusem, ale podróż będzie trwać 17 godzin. Decyduję się więc na samolot. W przeddzień wylotu dostaję informację z linii „Delta”, że lot – z uwagi na kiepską pogodę – może nie dojść do skutku. Tornada, huragany, burze pustoszą Mississippi, Luizjanę, Alabamę i docierają do Georgii. Lecę jednak o 6.00 z lotniska La Guardia. Po dwóch godzinach jestem na miejscu. Jest parno, wilgotno. Cudowny stadion Mercedes-Benz – jeden z najlepszych na tym mundialu, a może i najlepszy, na jakim byłem – ma zasuwany dach. Jest klimatyzowany, wewnątrz 22 stopnie Celsjusza, tutaj to 72 stopnie Fahrenheita, bo taką skalą posługują się Amerykanie. Mecz zaczyna



Boston South Station to szczególne miejsce na mapie mojego wyjazdu za Atlantyk na mistrzostwa świata.

się o 12.00. Zaraz po nim jadę metrem – tutaj subway – Martha na lotnisko. Tam muzyka na żywo, bo Georgia to stan słynący z genialnych muzyków. Mam trochę czasu. Słucham koncertu wokalistki, jem pizzę, a w telefonicznej aplikacji otrzymuję informację, że lot z 21.00 zostaje odwołany! Powód? Intensywne opady deszczu, burze. Wszystko stoi... Lotnisko Hartsfield-Jackson to jedno nie tyle z największych w Stanach, co na świecie. Zajmuje 1528 hektarów, prawie tyle samo, co Sopot, zatrudnia 56 tysięcy ludzi, a w 2025 roku obsłużyło 105 milionów pasażerów (dla porównania Katowice-Pyrzowice 7,2 mln). Co robić? Przecież nazajutrz mam jechać do Filadelfii na mecz Brazylia – Haiti. Odwołanie mnie z jednego miejsca na drugie – terminale D, B, E. W końcu jest miejsce, ale niepewne, na liście rezerwowej tzw. stand by i na inne nowojorskie lotnisko – JFK. Biorę i modlę się, żeby miejsce po odprawie było. Jest, lecę. Do Nowego Jorku docieram z kilkugodzinnym poślizgiem, ale jestem na miejscu i do Filadelfii mogę jechać autobusem, bo to 150 km.

Przygoda numer 2. Odwołane autobusy

Najtaniej podróżować w Stanach autobusami. Trzykrotnie jeżdżę na

trasie Nowy Jork – Boston – Foxborough i z powrotem. Zajmuje to prawie... 24 godziny. Bilet w dwie strony z NYC do stolicy stanu Massachusetts to 120-140 dolarów (około 450-500 złotych).

To był mój drugi wyjazd, akurat na start Francja – Norwegia, i cieszyłem się, bo powrót po południowym meczu miałem o godzinie 19.30, a na miejscu miałem być Manhattanie przed północą. Zdążyłem na minuty przed planowanym wyjazdem, bo stadion w Bostonie ma tyle wspólnego z tym miastem, co lotnisko w Pyrzowicach z Katowicami. To mniej więcej ta odległość, ale

żeby dojechać na stadion w Foxborough, trzeba się przebić przez korki.

Jestem więc na miejscu, a autobusu amerykańskiej filii Flixbus nie ma... Przyjechałem o 22.00 i zabrałem dziecięcych osób, bo już był wypchnięty, a kierowca kazał jeszcze sobie dodatkowo zapłacić 50 dolarów... Dramat. Na miejscu, zamiast przed północą, jestem o czwartej rano.

To jeszcze nie było wszystko. Już w fazie pucharowej byłem w Foxborough na meczu Niemców z Paragwajem. Spod stadionu „media bus” miał wyjechać o 19.30. Dogrywka i karne, więc wszystko odłożono w czasie najpierw na ósmą wieczorem, potem na 20.20. Autobus z Bosto-

nu do Nowego Jorku miałem o 21.30. Nie było szans, żeby dojechać. Co robić? Aplikacja Uber. Oni się przygotowali. Pod stadionem autobusy i za 25 dolarów podwózka do centrum. Byłem na styk, kilkanaście minut przed czasem i tym razem autobus linii Greyhound ruszył o czasie.

Przygoda numer 3. Nie ta ulica

O drugiej rano ląduję w któryś dzień po meczu na Jamaica Queens. Okolica nieciekawa, a jeszcze ucieka mi autobus na Maspeth. Kolejny za godzinę. Nie, nie czekam, jestem wykończony. Zamawiam Ubera. Kierowca Pakistańczyk i jedziemy pod wskazany adres. Podjeżdżamy, budy-

nek oznaczony numerem 61-59 jak tam, gdzie mieszkam, ale cholera – coś się w tej zabudowie nie zgadza. – No to chyba tu? – pyta Pakistańczyk. Wychodzę, patrzę, on odjeżdża, ale to nie ten budynek, choć numer ten sam. Niech to szlag! Przywiózł mnie na 56th Street, a „moja” ulica to owszem też 56th Street, ale pełna nazwa to 56th Drive Street. Na piechotę niespełna pół godziny spaceru, jak wskazuje Google Maps, bez czego nie jestem w stanie się tutaj obyć, ale i tak adres pomyliłem.

Przygoda numer 4. Nie ten hotel...

To już końcówka drugiego tygodnia pobytu w Nowym Jorku i już mecz numer cztery na Met Life Stadium w East Rutherford. „Niby wszystko ogarnięte, więc nic już złego nie może mnie spotkać” – myślę sobie, jadąc od siebie z Maspeth na Manhattan do Even Hotel, bo to stamtąd jeżdżą autobusy dla mediów na stadion. Ostatni na mecz Anglia – Panama jedzie o 15.00. Będę na czas i jestem. Jest Even Hotel i jest niby OK. Niby, bo patrzę – cholera, znowu nie ta zabudowa, co wcześniej. Nie ma za bardzo się kogo nawet zapytać, bo recepcji w hotelu na parterze brak. No dobra, przychodzi fotoreporter z Irlandii z akredytacją Steve’a, a potem jeszcze dwóch dziennikarzy z Ekwadoru. Oprócz nas jednak nikogo... Nagle konsternacja, bo to nie ten hotel! Okazuje się, że jesteśmy w Even Hotel w Midtown, a ten nasz prawdziwy Even Hotel jest 1,5 mili dalej na Times Square! Jazda Uberem nie pomaga, bo wszystko zakorkowane. Są autobusy dla kibiców z centrum, ale akredytacja nic nie daje, to tylko dla fanów z biletami. Jedziemy autobusem z Nowego Jorku do New Jersey. Kolejny Uber (za 50 dolarów – około 190 zł) i na piechotę na Met Life. Przychodzimy na czas jeszcze przed tym, zanim zagrali hymny.



Takimi autokarami podróżowali po wspaniałych amerykańskich drogach piłkarze 48 reprezentacji. Dla dziennikarzy nie były dużo gorsze.

To nie jest upadek!

Rozmowa z **Tomaszem Musiałem**, prezesem Skry Częstochowa, która wycofała się z III ligi

Podejrzewam, że to była najtrudniejsza decyzja dla pana w kilkunastoletniej historii pracy w Skrze. Nie było już żadnych nadziei na uratowanie III ligi? Patrząc z zewnątrz, wydaje się, że PZPN, blokując wypłatę środków z programu Pro Junior System, praktycznie wydał wyrok na klub.

- To jest w ogóle najtrudniejsza decyzja, jaką kiedykolwiek musiałem podjąć w swoim życiu zawodowym. Emocjonalnie bardzo trudna, bo jestem ze Skry związany mnóstwo lat. Praca i działanie w - nazwijmy to - bałaganie finansowym jest jednak bardzo ciężka. Przyczyn takiej decyzji było kilka, na pewno brak środków z PJS był jedną ze składowych, ale nie jedyną. Na przestrzeni lat powstały dług, większość zawodników i trenerów ma prawo, aby ubiegać się o zarobione pieniądze. Te długie ze spółki spadły na stowarzyszenie i ciężko jest nam je w tej chwili spłacić. Musimy też patrzeć realnie i wiemy, że skonstruowanie budżetu, który pozwalałby nam na codzienne funkcjonowanie w dzisiejszych czasach, jest bardzo trudne. Na poziomie III ligi zawodnikom trzeba zapłacić niemałe pieniądze, nie wspominając już o samych kosztach brania udziału w meczach - wyjazdy, hotele itp. PZPN zatrzymał nam 3/4 kwoty, którą wygraliśmy w PJS. Te środki na pewno pozwoliłyby nam rozpocząć rozgrywki, ale



Trzy lata temu Skra Częstochowa grała w I lidze. Sezon 2026/27 może zacząć w klasie B...

to już teraz gdybanie. W tej chwili muszę się starać, aby wypłacić zawodnikom środki za poprzedni bardzo dobry sezon. Chcę dotrzymać słowa, które im dałem.

W poprzednim sezonie znacząco Skrze pomógł Raków, dostarczając zawodników z akademii. Nie był zainteresowany dalszą współpracą?

- Zarządowi Rakowa oraz dyrektorowi jego akademii należą się podziękowania, że w tym trudnym dla nas okresie przystąpili do planu, który okazał się bardzo ciekawy i perspektywiczny dla obu klubów. To, co Raków chciał osiągnąć, czyli promocję zawodników nieznaną szerszej publiczności, udało się zrealizować. Grupa zawodników, która u nas

grała, wypromowała się, znalazła kluby na poziomie centralnym lub trzecioligowym. Raków w dużym stopniu odzyskał zainwestowane pieniądze w grę tych zawodników u nas. Na kolejny sezon przy Limanowskiego nie było jednak chęci kontynuowania tego projektu.

Kibice w komentarzach często powtarzają, że awans do I ligi w 2021 roku Skrze zaszkodził. Pan by się z tym zgodził?

- Trzeba by się nad tym głębiej zastanowić... Ten sukces, który wtedy nie był planowany i przyszedł bardzo spontanicznie, spowodował powstanie zaległości przede wszystkim w opłaceniu wynajmowanego obiektu w Bełchatowie, ale również w stosunku do piłkarzy,

którzy - jak na nasze realia - kosztowali całkiem sporo. Robiliśmy drogę z naszej perspektywy transferu, choć i tak zawsze, czy to w I czy II lidze, mieliśmy najniższy budżet. Wszystko, co się dzieje teraz, jest poniekąd konsekwencją tamtych działań. Ja się cieszę, że w ostatnim okresie przy współpracy z miastem udało się przystosować obiekt przy Loretańskiej do gry z kibicami - w tej chwili mamy 500 miejsc siedzących. Mam nadzieję, że na tym nie koniec, bo spróbujemy jeszcze rozbudować tę infrastrukturę na części południowej trybuny. Będziemy mieć stadion, który będzie spełniał wymogi wyższej ligi niż III. Ponadto robimy wszystko, aby poukładać finanse i odbudować klub.

Największy paradoks jest taki, że gdy Skra święciła sukcesy, grając w I czy nawet II lidze, kibice nie mogli jej oglądać u siebie, a teraz - gdy stadion spełnia wymogi - nie ma drużyny...

- To nie tak, że nie ma drużyny...

No właśnie, bo to chyba teraz najbardziej interesuje kibiców: w której lidze zagra Skra w sezonie 2026/27?

- Robimy wszystko, aby wystartować w możliwie najwyższej lidze, do której będziemy uprawnieni. Myślimy o klasie okręgowej, bo V liga raczej nie wchodzi w rachubę; to nie działa tak, że dostaje się od razu miejsce. Na razie jednak nie chciałbym deklarować, w której lidze zagramy, na te decyzje



musimy jeszcze trochę poczekać. Drużynę będziemy chcieli oprzeć na lokalnych zawodnikach oraz graczach naszej akademii. Mamy plan na najbliższe pięć lat, ale najważniejszą kwestią jest stabilizacja finansowa oraz dokończenie infrastruktury.

Poniedziałek był czarnym dniem dla klubów III ligi, bo wycofał się również Stowianin Wolibórz. Niedawno upadek ogłosił GKS Jastrzębie, a wtajemniczeni twierdzą, że to nie koniec listy klubów, które będą mieć ogromne problemy...

- W tej chwili rynek piłkarski jest tak skonstruowany, że trzeba mieć naprawdę duże pieniądze, żeby grać na poziomie III ligi. Sytuacja ekonomiczna w kraju nie przysparza też sponsorów, którzy chcieliby wyłożyć swoje pieniądze na piłkę, przynajmniej w Częstochowie. Wielu ośrodkom jest coraz ciężiej. Wracając do Skry, chcę podkreślić, że to nie jest upadek klubu. Mamy swoją akademię, chcemy oczyścić atmosferę wokół klubu i nadal pisać jego historię.

**Rozmawiał
Mariusz Rajek**

Z Sosnowca do Europy

Od starcia z WFC Nike Lusso Tbilisi piłkarki Czarnych rozpoczną batalię o udział w Lidze Mistrzyń.

CZARNI SOSNOWIEC

Mistrzynie Polski na początku europejskich zmagani wezmą udział w turnieju z udziałem czterech drużyn, a jego areną będzie ArcelorMittal Park w Sosnowcu. Już w najbliższą środę 22 lipca o 18.00 w półfinale (grupa 4) zmierzą się z WFC Nike Lusso Tbilisi.

Wysoka stawka

W przypadku wygranej o awans do kolejnej fazy zespół trenera Sebastiana Stemplewskiego podejmie zwycięzcę pary Athlone

Town AFC (Irlandia) - ZKF Skopje (Macedonia Północna). Finał tej rywalizacji zaplanowano na 25 lipca o 18.00. Jeśli Czarne wygrają turniej w Sosnowcu, w drugiej rundzie czekać może cypryjski Apollon Limassol, w finale zaś zespół z Albanii, Malty, Słowacji lub Estonii. - Zajęcie drugiego lub trzeciego miejsca w tym miniturnieju zapewni udział w kwalifikacjach Pucharu Europy, ale zwycięstwo pozwoli zagrać dwumecz o historyczny awans do fazy ligowej Champions League. Na razie skupiamy się oczywiście na pierw-

szej fazie i turnieju, którego będziemy gospodarzem. Zespół od dłuższego czasu przygotowywał się do tej rywalizacji. Zobaczymy, co z tego wyjdzie. Liga jeszcze nie gra, więc tak naprawdę dla nas to początek sezonu. Liczymy, że rozpoczniemy go w dobrym stylu - podkreśla Grzegorz Majewski, wiceprezes Czarnych.

Bez „podpalania”

Piłkarki Czarnych o udział w Lidze Mistrzyń będą walczyć po raz drugi. Pierwsze podejście zakończyło się dość szybko. W 2021 roku na Stadionie

Ludowym przegrały już pierwsze starcie, 1:2 z węgierskim Ferencvarem z Budapesztu. Tym razem, bogatsze o tamte doświadczenia, liczą na więcej. - Tamten mecz, tamten start w pucharach był pewnego rodzaju przetarciem. Apetyty były spore, ale niestety skończyło się na jednym meczu. Teraz nie będziemy się tak „podpalać” jak wtedy. Potrzeba więcej spokoju, chłodnej głowy - dodaje Majewski.

Warto przypomnieć, że po tamtej porażce pracę stracił trener Stemplewski, który do pracy w Czarnych

wrócił dopiero w trakcie rozgrywek 2024/25. - To odległa historia, nie ma do czego wracać, ale po tych kilku latach można śmiało stwierdzić, że popełniliśmy błąd, podejmując decyzję o rozstaniu ze szkoleniowcem - kwituje Grzegorz Majewski.

Szkoda Witek, ale...

Latem w zespole mistrzyń Polski doszło do kilku roszad, ale jego trzon został zachowany. - Mamy m.in. bramkarkę Annę Palińską, mamy napastniczkę Wiktorię Kaczmarek... Ponadto do kadry dołączyło

kilka utalentowanych piłkarek młodego pokolenia z naszej akademii. Po stronie strat musimy zapisać bramkarkę Zuzannę Witek, która podjęła decyzję o przeprowadzce do Danii, wiążąc się z tamtejszym HB Købe, ale postaramy się wypełnić tę lukę. Mecze kontrolne wypadły nieźle, teraz czas na pierwszy prawdziwy test i to od razu o sporą stawkę. Zespół jest doświadczony, zgrany. Na papierze wygląda bardzo dobrze, ale wszystko zweryfikuje boisko - kończy wiceprezes Czarnych.

(KP)

Mamy wiele do zrobienia

Rozmowa z **Emilią Galińską**, która po trzech latach wolaży ponownie będzie występować z Zagłębiem Lubin

Po trzech latach wraca pani do Lubina. Jakie towarzyszyły pani emocje, gdy pojawiła się propozycja ponownego założenia pomarańczowej koszulki?

- Do momentu, kiedy otrzymałam ofertę z Zagłębia, długo zastanawiałam się, co powinnam zrobić i gdzie chcę grać. Pojawiały się myśli o pozostaniu za granicą, ale również o powrocie do Polski. Kiedy jednak rozpoczęły się rozmowy kontraktowe z prezesem klubu, Witoldem Kuleszą, długo się nie zastanawiałam. Poczułam, że to jest miejsce, w którym chcę być. Zagłębie to klub, w którym czułam się bardzo dobrze, i do którego zawsze miałam ogromny sentyment.

W Lubinie przeżyła pani piękne cztery lata, zdobywając trzy mistrzostwa i trzy Puchary Polski. Ma pani poczucie, że zostało jeszcze coś do zrobienia?

- Osiągnęliśmy z koleżankami wiele sukcesów, którym towarzyszyły ogromne emocje. Czułam się świetnie w drużynie i w mieście. Najbardziej pamiętam ostatni sezon, kiedy zdobyłyśmy potrójną koronę, bo do tytułu mistrzowskiego i Pucharu Polski dołożyłyśmy Superpuchar Polski. Był on dla mnie szczególnie i emocjonujący, ponieważ wiedziałam, że po nim odchodzę z klubu. A wracając do pytania - zawsze z zawodniczki i z zespołu

można wyciągnąć więcej, a my mamy coś do zrobienia szczególnie w Lidze Europy. To cel, na którym - poza rywalizacją w Orlen Superlidze - planujemy się skupić. Chciałabym, aby Zagłębie dominowało nie tylko w kraju, ale również walczyło jak równy z równym z najlepszymi klubami na europejskich arenach.

Powrót do Lubina daje dodatkową motywację, czy raczej wiąże się z większą presją?

- W sporcie presja jest nieodłącznym elementem, ale staram się przekładać ją przede wszystkim na dodatkową energię do działania. Poza tym wracam do znajomych twarzy, wracam tam, gdzie czekają na mnie dobrzy ludzie i dużo uśmiechu, a to jest dla mnie bardzo ważne.

Występowała pani w Niemczech i Rumunii. Czego nauczyły panią występy za granicą lub może jak zmieniła się pani w tym okresie?

- Sportowo był on dla mnie bardzo wartościowy, ponieważ trenowałam i rywalizowałam z najlepszymi zawodniczkami Europy i świata. Poza tym bardzo rozwinęłam się mentalnie. Zdobylam nowe doświadczenia, nauczyłam się wykorzystywać swoje możliwości. Lepiej poznałam siebie, wiem, czego potrzebuję, aby osiągać najwyższy poziom. Naturalnie nie zawsze było łatwo, ale właśnie trudne momenty najbardziej kształtują cha-



Emilia Galińska podkreśla, że na Dolnym Śląsku czuje się jak w domu.

rakter. Pomagają ustalić swoje priorytety. Zrozumiałam również, jak ważne są relacje na linii drużyna - środowisko, w którym się funkcjonuje i to, jakimi ludźmi się otaczam. Kocham piłkę ręczną i nadal chcę czerpać z radości, a nie skupiać się jedynie na przetrwaniu.

Czego kibice mogą się dziś po pani spodziewać?

- Przez te trzy ostatnie lata obserwowałam Zagłębie i z dużym szacunkiem patrzyłam na stabilność klubu. Cały czas się rozwijał, zdobywał kolejne trofea, stale szedł do przodu i nie miał zamiaru się zatrzymywać. Nie chciałabym wyprzedzać faktów, jednak

zapewniam, że zamierzam dać drużynie wszystko, co mam najlepsze, zarówno pod względem sportowym, jak i prywatnym. Powrót do Zagłębia jest dla mnie jak powrót do domu. To daje mi poczucie spokoju i ogromną radość przed tym, co mnie czeka.

**Rozmawiał
Zbigniew Ciećciała**

„EMA” WRÓCIŁA!

■ Emilia Galińska ponownie została zawodniczką Zagłębia Lubin. 33-letnia rozgrywająca wróciła do zespołu, z którym trzykrotnie sięgnęła po mistrzostwo oraz Puchar Polski. Sportową drogę „Ema” rozpoczęła w rodzinnym Łukowie, reprezentując barwy SPR Łukovia. W 2008 roku trafiła do SMS Gliwice, z którą triumfowała w rozgrywkach I ligi, wywalczając awans do Superligi. W latach 2011-13 występowała w KPR Jelenia Góra, skąd przeniosła się do Vistalu Gdynia. Po trzech sezonach spędzonych na Pomorzu, okraszonych srebrnym i dwoma brązowymi medalami, zdecydowała się na wyjazd za granicę. Przez kolejne lata reprezentowała kluby niemieckie: Neckarsulmer Sport-Union, Borussia Dortmund oraz SV Union Halle-Neustadt. W 2019 roku po raz pierwszy zasiadła szeregi Zagłębia Lubin, by po czterech udanych sezonach ponownie wyjechać za granicę. Najpierw reprezentowała rumuński CS Măgura Cisnădie, a następnie CS Minaur Baia Mare, z którym Zagłębie rywalizowało w fazie grupowej EHF European League sezonu 2021/22. Ma za sobą 44 mecze i 43 bramki w reprezentacji, z którą dwukrotnie (2016, 2022) wystąpiła na mistrzostwach Europy.

(ZC)



Fot. KKS Czarni Antraks Sosnowiec

Nad Brynicą mają świadomość szansy, przed jaką stoją mistrzynie Polski.

TRZY PYTANIA DO...

SEBASTIANA STEMPEWSKIEGO

trenera Czarnych

Marzenia do spełnienia



1 Pięć lat temu zapłacił pan podażą za odpadnięcie z walki o Ligę Mistrzów. Teraz taka ewentualność nie wchodzi w grę. Czas pokazał, jak cenny jest pan dla zespołu, z którym sięgnął pan po mistrzostwo Polski. Wraca pan myślami do tamtego wydarzenia?

- Nie ma co grzebać w przeszłości. Myślę, że wszyscy jesteśmy mądrzejsi o doświadczenia tamtych lat. Tytuł bardzo nas wtedy cieszył, zresztą podobnie jest teraz. Na pewno na początku był żal, sportowa złość. Czas jednak leczy rany, cieszę się, że znów mogę być w Czarnych i tworzyć historię tego klubu.

2 Z jakimi nadziejami przystępicie do fazy eliminacyjnej Ligi Mistrzyń?

- Droga do Ligi Mistrzyń jest trudna i wyboista. Na razie musimy skupić się na pierwszym meczu. To będzie wielka niewiadoma, bo jesteśmy u progu nowego sezonu. Mamy za sobą serię gier kontrolnych, ale wiadomo, że mecz o stawkę to coś zupełnie innego. Przeciwnika z Gruzji mamy rozpracowanego. Marzenia są po to, aby je realizować. Będziemy chcieli znaleźć się w elitarnym gronie, lecz czeka nas bardzo trudne zadanie. Zespół jest

bardzo podekscytowany możliwością rywalizacji w Europie.

3 W kadrze nie doszło do wielkich zmian. Są jednak straty, jak odejście Zuzanny Witek. Jest pan zadowolony z ruchów transferowych w letnim okienku?

- Trzon zespołu został zachowany, a to najważniejsze. Dziewczyny się znają, rozumieją i ten fakt ma ogromne znaczenie. Pozyskaliśmy jednocześnie kilka zawodniczek, które mają być wartością dodaną. Liczymy, że tak się stanie.

**Rozmawiał
Krzysztof Polackiewicz**

Medale wiszą wysoko!

Szablistka Zuzanna Cieślár, która zdobyła srebro na poprzednich mistrzostwach świata, teraz podczas zajęć już na miejscu zmagania skreśliła kolano i jej start w rozpoczynającej się właśnie edycji nie jest pewny.

MISTRZOSTWA ŚWIATA

Prawie 1500 zawodniczek i zawodników ze 114 krajów stanie na starcie szermierczych mistrzostw świata w Hongkongu, a w tym gronie znajduje się 24-osobowa ekipa Białoczerwonych. Ta impreza to ukoronowanie bogatego sezonu, w którym nasi reprezentanci stawali na podium w zarówno w Pucharze Świata, jaki i w mistrzostwach Europy. Teraz medale wiszą wysoko, bo konkurencja zdecydowanie wzrosła, co widać nie tylko po obsadzie w poszczególnych broniach, ale też po inwestycjach w tę dyscyplinę.

Umiarkowany optymizm

Nasza rodzima szermierka trudny okres ma już chyba za sobą i są symptomy poprawy. Każde miejsce w „8” będziemy przyjmowali z dobrodziejstwem, zaś po ewentualnych pozycjach na podium pięć z zachwytem. W czerwcowych mistrzostwach Europy w Antalyi zdobyliśmy dwa medale: srebrny był dziełem florecisty Andrzeja Rządowskiego, a brązowy szpadzistki Alicji Klasik. Przypomnijmy, że rok te-

mu w Tbilisi Zuzanna Cieślár, szablistka z Sosnowca, zdobyła wicemistrzostwo świata.

W porównaniu z ME w składzie zaszły kosmetyczne zmiany. Florecistę Michała Siessa z Gdańska zastąpił jego klubowy kolega, Adam Jakubowski. Krzysztof Kaczowski, startujący w szablowej drużynie, tym razem pozostał w domu. Szpadzistkę Kingę Zgryźniak zastąpiła bardziej doświadczona Barbara Brych. Te roszady, naszym zdaniem, nie mają żadnego znaczenia.

- Zrobiliśmy wszystko, by ekipa była jak najlepiej przygotowana, bo mieliśmy zgrupowania zagraniczne oraz krajowe - mówi dyrektor sportowy związku, Łukasz Mandes. - Mamy swoje ambicje i jestem przekonany, że pokażemy się z nieźłej strony oraz potwierdzimy postępy, jakie poczyniliśmy w ostatnim czasie. Nie będę wróżył z fusów i wdawał się w szczegóły, na kogo najbardziej liczymy. Powiem bardziej dyplomatycznie - liczymy na przedstawicieli wszystkich broni. Fajnie by było, gdyby nasze drużyny, klasyfikowane w rankingu poza czołową dziesiątką, walczyły o miejsce w ćwierćfinale. Byłaby to niezła pozycja wyjściowa



Nie wiadomo, czy Zuzanna Cieślár wystąpi na mistrzostwach świata w Hongkongu.

przed eliminacjami olimpijskimi, które zbliżają się wielkimi krokami.

Skrecone kolano

Po raz kolejny mocno liczymy na występy szablistek. Wprawdzie na ME nie stanęły na podium, ale ich występ nie był źle oceniony. Skład został w połowie zmieniony i doszły dwie młode zawodniczki, Julia Cieślár i Maria Więckiewicz, dla których czerwcową impreza była debiutem. Szablistki 13 lipca wyjechały na zgrupowanie do Hongkongu, więc ponad tydzień miały okazję trenować w międzynarodowym towarzystwie.

- Wszystko układało się po naszej myśli, ale - niestety - dopadł nas pech - poinformował nas trener szablistek, Tomasz Dominik. - Zuzia Cieślár podczas zajęć skreśliła kolano i obawiamy się, czy zdoła dojść do siebie, czy będzie mogła walczyć. Jest pod stałą kontrolą lekarską i przechodzi intensywną rehabilitację. Mocno liczyłem i nadal liczę na występ naszej drużyny, a Zuzia jest jej kluczową postacią. Podczas mistrzostw

90

MEDALI

zdołali Białoczerwoni podczas mistrzostw świata. Na ten dorobek składa się 38 krążków indywidualnych (8 złotych - 13 srebrnych - 17 brązowych) oraz 52 drużynowe (10 - 16 - 26).

Europy Angelika Wątor nie mogła walczyć w pełnym wymiarze, bo miała problemy wybitym kciukiem. Problemy ma już za sobą, ale wyskoczyły inne. Mam nadzieję, że do czasu startu drużyny (29 lipca - przyp. red.) się z nimi uporamy. Przed wylotem liczyłem na walkę o strefę medalową. Teraz już jestem bardziej ostrożny, ale trzeba stawiać czoło wszystkim przeciwnościom losu.

Nagrody finansowe

Zespół szpadzistek podczas igrzysk w Paryżu sięgnął po brązowy medal, jednak od tamtego czasu wiele się zmieniło. Jest nowy trener, a z olimpijskiej

drużyny została jedynie Alicja Klasik. Artur Fajkis, szkoleniowiec szpadzistek, ma zmieniony zespół i trzeba cierpliwości, by wszystko wskoczyło na właściwe tory. Niemniej trzymamy kciuki za waleczną Alę oraz jej koleżanki.

W pozostałych broniach również liczymy na miłe niespodzianki. Od dłuższego czasu wysoką formę utrzymuje florecista Andrzej Rządowski, który przebojem stanął na podium PS oraz sięgnął po srebro ME. Tutaj konkurencja jest zdecydowanie silniejsza, bo dochodzą nie tylko mocni Azjaci.

Szermierze walczą nie tylko medale, ale również nagrody finansowe. Międzynarodowa Federacja Szermiercza przeznaczyła na nie 1,2 mln USD. Indywidualne mistrzostwo świata zostało wycenione na 40 tys. „baksów”, srebro o połowę mniej, zaś brąz na 10 tys. Podium w turniejach drużynowych to odpowiednio 50, 25 i 15 tys. dolarów. Czy w gronie nagrodzonych będą reprezentanci Polski? Oby!

Włodzimierz Sowiński

A baksy fruują...

NHL

Najlepsza liga świata oferuje miliony dolarów. Jednak wszystko dzieje się pod ścisłą kuratelą klubowych wódarzy. Trzeba przestrzegać limitów płacowych, bo szefowie ligi patrzą na wydatki i nie pobbatają żadnemu klubowi za przekroczenie określonej normy. Niemniej co rusz dowiadujemy się o kolejnych wielomilionowych kontraktach.

■ Connor Bedard, 21-letni napastnik, w 2023 r. z nr 1. został wybrany drafcie przez Chicago Blackhawks. Od debiutu rozegrał 219 spotkań i zgromadził 203 pkt (75 goli+128 podań), zostając pierwszym zawodnikiem w historii klubu, który przekroczył granicę 200 pkt przed ukończeniem 21 lat. Kanadyjczyk ma za sobą najlepszy sezon w karierze, bo w 69 meczach zdobył 75 pkt (30+45). Trudno się dziwić, że Kyle Davidson, główny menadżer Czarnych Jastrzębi, zabiegał, by hokeista podpisał nową umowę. Negocjacje trochę trwały, ale w końcu dobiegły końca. Bedard podpisał 5-letni kontrakt o wartości 75 mln USD (rocznie 15 mln)! Umowa będzie obowiązywała od sezonu 2026/27 do końca 2030/31, oczywiście pod warunkiem, że po drodze coś się nie wydarzy.

■ Cole Perfetti od początku kariery (2020 r.) jest związany z Winnipeg Jets i ma na koncie 290 meczów oraz 157 pkt (59+98). Jednak w tym sezonie został zastrzeżonym agentem i złożył wniosek o arbitraż płacowy. Obie strony nie chciały się chyba rozstawać, bo ostatecznie szefowie Odrzutów doszli do porozumienia z 24-letnim napastnikiem i podpisali 5-letni kontrakt opiewający na 30 mln USD. W tej sytuacji postępowanie arbitrażowe, ku uciesze obu stron, nie było potrzebne.

■ W podobnej sytuacji znalazł się Kirby Dach, 25-letni napastnik Montreal Canadiens. Kanadyjczyk ma za sobą wiele problemów zdrowotnych i wystąpił w zaledwie 37 spotkaniach, zdobywając 15 pkt (8+7), a w play offie zaliczył 19 potyczek i 5 pkt (1+4). Wódarze klubu ostatecznie zdecydowali się na podpisanie rocznej umowy o wartości 3,6 mln i liczą, że Dach wszystkie kontuzje ma już za sobą.

■ Connor McMichael, 25-letni napastnik, w ramach wymiany przeniósł się z Washington Capitals do St. Louis Blues. Razem z nim przeszedł Milton Gastin, do St. Louis Blues zaś powędrował Jordan Kyrou. McMichael miał złożyć wniosek o arbitraż płacowy, ale obie strony szybko doszły do porozumienia. Kanadyjczyk podpisał 6-letni kontrakt o wartości 40,5 mln i nie krył z tego powodu satysfakcji.

(ws)

REPREZENTACJA BIAŁO-CZERWONYCH

Floret kobiet: Marta Jakubowska, Amelia Olszewska (obie Orlen AZS AWFIS Gdańsk), Julia Walczyk-Klimaszyk, Karolina Żurawska (obie AZS-UAM Poznań);

Floret mężczyzn: Leszek Rajski, Andrzej Rządowski (oba Wrocławianie), Jan Nowak (AZS AWF Poznań), Adam Jakubowski (Orlen AZS AWFIS Gdańsk);

Szabla kobiet: Zuzanna Cieślár, Julia Cieślár, Angelika Wątor (wszystkie ZKS Sosnowiec), Maria Więckiewicz (Szabla Żąbki);

Szabla mężczyzn: Szymon Hryciuk (AZS AWF Katowice), Olaf Stasiak, Benedykt Denkwicz (oba Szabla Żąbki), Piotr Szczepanik (indywidualnie Victor Warszawa);

Szpada kobiet: Alicja Klasik, Gloria Klughardt (obie RMKS Rybnik), Magdalena Pawłowska (AZS AWF Warszawa), Barbara Brych (AZS AWF Kraków);

Szpada mężczyzn: Damian Michałak (Piast Gliwice), Mateusz Antkiewicz (AZS AWF Katowice), Piotr Urban (AZS AWF Kraków), Jan Socha (PKS. Warszawa).

HARMONOGRAM TURNIEJU

Środa (22.07.): szpada K i floret M eliminacje

Czwartek (23.07.): szabla K i szpada M el.

Piątek (24.07.): floret K i szabla M el.

Sobota (25.07.): szpada K i floret M finały

Niedziela (26.07.): szabla K i szpada M finały

Poniedziałek (27.07.): floret K i szabla M finały

Wtorek (28.07.): floret M i szpada K drużynowo

Środa (29.07.): szabla K i szpada M drużynowo

Czwartek (30.07.): floret K i szabla M drużynowo

Dominatorki z Italii

Osiem najlepszych ekip po fazie grupowej rozpoczyna walkę o główne trofeum. Czy Włoszki sięgną po trzeci triumf z rzędu?

LIGA NARODÓW KOBIET

Final Eight rozgrywany jest w chińskim Makau. Niestety, w tym roku wśród uczestniczek zabrakło Polski. Nasza drużyna, która w trzech poprzednich latach kończyła zmagania z brązowym medalem, zaprzepaściła szansę w ostatnim spotkaniu grupowym, przegrywając z Japonią 2:3. – Naszym celem był awans do turnieju finałowego, który oznaczał możliwość walki o medale, a także zdobycie jeszcze więcej doświadczenia. Prowadziliśmy 2:0 w setach, co oznacza, że dziewczyny do ostatniej chwili wierzyły, że mogą dokonać czegoś, co w tym sezonie byłoby może nawet większym osiągnięciem niż w poprzednich latach – mówił po porażce z Japonkami Stefano Lavarini, trener naszej kadry. W Makau zagrają: USA, Włochy, Brazylia, Turcja, Kanada, Japonia, Holandia oraz Chiny (gospodarz). Faworytkami są Włoszki, które w ostatnich latach zdominowały światowe parkiety. Trener Julio Velasco stworzył bowiem „maszynkę do wygrywania”. Jego podopieczne dwa razy z rzędu wygrały Ligę Narodów (2024, 2025), zdobyły mistrzostwo olimpijskie (2024), mistrzostwo świata (2025) oraz mistrzostwo Europy (2021). W Makau Włoszki wystąpią w najsilniejszym zestawieniu z Paolą Egonu, Myriam Syllą, Alessią Orro czy Sarah Fahr na czele. Wielkie ambicje mają też Turcja z kapitałną i bezkompromisową atakującą Melissą Vargas, Brazylia oraz Stany Zjednoczone. Zespół z Ameryki Południowej jest jednak ogromnie osłabiony, bo kontuzja wyeliminowała z gry jego liderkę Gabi.

(mic)

TERMINARZ (WSZYSTKIE MECZE W MAKAU)

Ćwierćfinały Środa, 22 lipca

10.00: Włochy - Holandia

13.30: Brazylia - Japonia

Czwartek, 23 lipca

10.00: Turcja - Kanada

13.30: USA - Chiny

Półfinały Sobota, 25 lipca

10.00: Włochy/Holandia - Brazylia/Japonia

13.30: Turcja/Kanada - USA/Chiny

Niedziela, 26 lipca

9.30: Mecze o 3. miejsce

13.30: Finał



Mistrzowie Europy wraz ze sztabem szkoleniowym w pełnej krasie. Z prawej klęczący trener Jacek Nawrocki.

Charakterne chłopaki

Rozmowa z **Jackiem Nawrockim**, trenerem mistrzów Europy do lat 18

Szkoła Mistrzostwa Sportowego w Spale uchodzi za elitarną, ale usłyszam też taką opinię, że z chwilą pańskiego powrotu do niej praca zyskała inną jakość.

– Trochę jestem tym zaskoczony, bo szkoła od lat jest przecież efektywna. Niemniej, z chwilą mojego powrotu do niej, pragnęłam wykorzystać swoje doświadczenie oraz narzucić takie standardy, by praca była miła, przyjemna, ale zarazem przynosiła wymierne efekty. Codziennosc wcale nie jest taka różowa, bo przecież chłopaki muszą wykonać żmudną i, nie owijamy w bawełnę, nudną pracę. Cieszymy się, że metody, które stosujemy, docierają do młodzieży. A to wcale nie jest takie oczywiste, bo w dzisiejszych czasach nie jest łatwo przekonać chłopaków, by całkowicie się poświęcili sportowi. Nam się to udaje, o czym świadczą medale kadetów, wice-mistrzostwo świata w poprzednim roku oraz teraz mistrzostwo Europy.

W czym tkwi tajemnica sukcesu?

– We właściwej selekcji. Czasami decydujemy się na chłopaków, którzy roją nadzieję na przyszłość i jesteśmy przygotowani na pracę długofalową z myślą w grze w lidze oraz w reprezentacji młodzieżowej, a w dalszej perspektywie także seniorów.

Czy przed mistrzostwami Europy pański zespół był postrzegany jako faworyt?

– Nie był faworytą, bo to był pierwszy turniej dla roczników 2009 i młodszych. Światowe władze

siatkarskie dokonały zmian kategorii wiekowych i dla tego roczników 2008 „uciekły” dwa turnieje. Trudno było zorientować się w sile poszczególnych reprezentacji, choć oczywiście wiedzieliśmy, kto jest mocny. Graliśmy mecze towarzyskie z Hiszpanią, a tuż przed zawodami z Włochami. Mieliliśmy prawo czuć się mocni, ale przecież wspomniani Włosi czy niezwykle silni fizycznie Bułgarzy również myśleli o złocie. Chłopaki pokazali jednak niezwykle charakter i wytrzymali presję. Z satysfakcją patrzyłem, jak z meczu na mecz byli coraz bardziej zmotywowani. Siła mentalna była po naszej stronie. W tej drużynie miałem dwóch zawodników, którzy w poprzednim sezonie z dwa lata starszymi kolegami wywalczyli wice-mistrzostwo świata. Ponadto miałem kolejnych dwóch, którzy uczestniczyli w całym okresie przygotowawczym. Tak więc doświadczenie z naszej strony było spore.

Najtrudniejszy mecz w turnieju?

– Zdecydowanie półfinałowy z Bułgarią (Polacy wygrali 3:2 – przyp. red.), bo od strony fizycznej ekipa z Bałkanów była porównywalna z seniorami. Bułgarzy imponowali blokiem, ale potrafił im dorównać.

Jakie są perspektywy przed tymi chłopakami?

– Już w sierpniu rozpoczynamy przygotowania do eliminacji mistrzostw Europy oraz mistrzostw świata juniorów. Ta drużyna potencjał ma ogromny i jestem przekonany, że nadejdą kolejne sukcesy, ale pod warunkiem, że zespół nie zostanie „rozebrany” przez reprezentację z wyższych kategorii wiekowych. Oczywiście, nie ma się na to co oburzać, bo o to chodzi, by w reprezentacjach grali najlepsi, ale mnie wówczas przyjdzie sięgnąć po młodszych i przygotować ich do kolejnych wyzwań. Pragnę podkreślić, że nie szkolimy z myślą o konkretnym wy-

niku w określonej kategorii wiekowej, lecz z myślą o rozwoju zawodnika i perspektywie jego gry w reprezentacji seniorów.

W tej grupie ktoś szczególnie się wyróżnia?

– Wolałbym przedstawić wszystkich chłopaków, bo siła tkwi w zespole! Naszą dewizą jest to, by talenty poszczególnych graczy były na usługach zespołu – tak to postrzegam i cały czas wbijam im to do głowy. Zaczynamy zatem od rozgrywek. Kuba Przybyłkowicz to absolutna przyszłość naszej siatkówki i już został zauważony przez trenera reprezentacji seniorów. Narzucił sobie presję, wytrzymał ją i poprowadził zespół do złota. Jego zmiennikiem był Wojtek Łobaczewski, którego zauważyłem w kadetach, gdy grał w Pile. Przyjmujący Bartek Fidyk to znakomita defensywa, duża świadomość i odpowiedzialność. Przez większość turnieju dźwigał ciężar gry i to mu się udawało. Z kolei Karol Lepert swoją niekonwencjonalną zagrywką w trudnych momentach dawał sygnał zespołowi do lepszej gry i miał wpływ na mental. Arek Wlazły jest w cieniu swojego ojca Mariusza, ale potrafił ten ciężar udźwignąć i był bardzo dobry w polu serwisowym oraz w przyjęciu. Adaś Małecki był przygotowany do pomocy, ale nie miał dużo sposobności do gry, bo jego koledzy spisywali się bez zarzutu. Adaś Potempa to z kolei najlepszy atakujący turnieju. Sparafrazuję zdanie Zdzisława Ambroziaka (niestety już nieżyjący były reprezentacyjny siatkarz i znakomity

dziennikarz – przyp. red.): „Jeżeli nie miałbyś Adama, to trzeba byłoby go wymyślić”. Niesłyszany talent o olbrzymiej sile ofensywnej! Jego zmiennikiem był Mateusz Oczko, potencjalny przyjmujący, ale to pokaże przyszłość. Ze środkowych Czarek Ślusarz miał już okazję grać w drużynie wice-mistrzów świata, kiedy był o dwa lata młodszy od kolegów. Jeden z najzdolniejszych na tej pozycji. Marcel Biernikowicz to z kolei... trzy w jednym, bo spełniał rolę przyjmującego, atakującego i środkowego; niezwykle wszechstronny zawodnik. Kevin Połuszny ma urozmaiconą zagrywkę i w kilku meczach nam nią pomógł. Alan Otak trafił do zespołu jako transfer medyczny, bo Mikołaj Pachura na ostatnim treningu przed turniejem doznał kontuzji stopy. Obaj libero, Łukasz Małek i Kacper Wiśniewski, świetnie się uzupełniali i również pokazali się z jak najlepszej strony. Nie byłoby tego sukcesu bez sztabu profesjonalistów, którzy pracują na rzecz zespołu i z którymi mam okazję współpracować.

Czyli możemy być spokojni o przyszłość naszej siatkówki?

– Oj, tak! W opinii publicznej panuje przekonanie, że seniorska reprezentacja jest skazana na sukces i teraz powoli przenosi się to na młodsze kategorie wiekowe. Chcemy osiągać sukcesy, ale cały czas musimy patrzeć na doskonalenie młodych, utalentowanych chłopaków przez pryzmat dorosłej reprezentacji.

**Rozmawiał
Włodzisław Sowiński**



Jacek Nawrocki z sukcesami pracuje w SMS-ie w Spale.

Gen SRY wchodzi na korty

Tenisistki muszą przejść jednorazowy test genetyczny, aby móc rywalizować w turniejach kobiet.

Nowe przepisy weszły w życie we wtorek. Zarządzająca kobiecymi rozgrywkami WTA (Women's Tennis Association) poinformowała, że jednorazowy test na obecność genu SRY, który pomaga w ustaleniu płci biologicznej, można wykonać za pomocą wymazu z policzka lub badania krwi.

Poprzednie zasady WTA zezwalały na udział kobiet transpłciowych, jeśli zadeklarowały swoją płć jako żeńską, a następnie utrzymywały obniżony poziom testosteronu przez okres dwóch lat przed startem. Obecnie nie ma - na żadnym poziomie profesjonalnego tenisa - aktywnych zawodniczek, które przeszły operację zmiany płci.

„Uprawnienia do udziału w turniejach WTA zostaną potwierdzone obowiązkowym, jednorazowym badaniem na obecność genu SRY. Kontrola rozpocznie się w 2026 roku, z zachowaniem wszelkich odpowiednich zabezpieczeń poufności i prywatności danych, a także będzie przebiegać równoległe z kompleksowym programem angażowania zawodniczek. WTA zdaje sobie sprawę, że jest to delikatna oraz złożona kwestia i zobowiązuje się

do traktowania wszystkich z godnością oraz wdrażania polityki w sposób pełen szacunku i przemyślany” – zacytował Reuters przedstawiciela WTA.

Jedną z bardziej znanych zawodniczek transpłciowych w tenisie była Amerykanka Renee Richards, która rywalizowała w tourze w latach 1977-81. W 1976 roku WTA zaczęła wymagać od zawodniczek badań genetycznych. Richards zakwestionowała tę politykę, a Sąd Najwyższy Nowego Jorku orzekł na jej korzyść, co stanowiło precedens w kwestii praw osób transpłciowych. Jako jedna z pierwszych profesjonalnych sportsmenek, która przeszła transformację, stała się rzeczniczką osób transpłciowych w sporcie.

Po zakończeniu kariery sportowej trenowała Martine Navratilovą, która pod jej wodzą dwukrotnie zdobyła tytuły mistrzyni Wimbledonu (w latach 1982-83). Amerykanka czeskiego pochodzenia, 18-krotna mistrzyni wielkoszlemowa, później otwarcie krytykowała włączanie do rywalizacji sportowców transpłciowych.

Aktualna liderka rankingu Aryna Sabalenka w zeszłym roku stwierdziła, że byłoby niesprawiedliwe,



Aryna Sabalenka jest za testami płci – można je wykonać za pomocą wymazu z policzka lub badania krwi.

LINETTE ZAMROZIŁA JAJECZKA

■ Magda Linette (51. w rankingu WTA) poinformowała, że zdecydowała się na procedurę zamrożenia komórek jajowych – bo chce w przyszłości zostać mamą. O szczegółach tej decyzji opowiedziała w programie TVN-u Dzień Dobry Waka-cje. - To jest taki temat, o którym niewiele mówi się nawet w naszym świecie, ponieważ jesteśmy tak skupione na karierze. Ja sama nie do końca wyobrażam sobie grać i jednocześnie być mamą, nie wydaje mi się, że mogę pogodzić dwie rzeczy. Wyobrażam sobie to tak, że skończę jeden etap życia, zacznę drugi, ale nie spodziewałam się, że będę też grać tak długo. - zaznaczyła 34-letnia tenisistka, która opowiedzia-

ła też o samej procedurze, która zajęła prawie dwa lata. - Najpierw zdobywałam najwięcej informacji i zaczęłam powoli wszystko planować. Zdecydowałam się na to w kwietniu zeszłego roku. Kiedy rozpoczęłam ten proces, zrezygnowałam z trzech ostatnich turniejów. Ukrywałam to przez jakiś czas, nie mogłam grać meczu dla Polski, ale też nie chciałam, by ktokolwiek myślał, że nie chcę i zastanawiałam się 6-7 miesięcy, żeby wyjść z tą informacją - dodała Linette. Poznanianka wraca na korty w przyszłym tygodniu w turnieju WTA 500 w Waszyngtonie, gdzie wystąpi również Magdalena Fręch (43.).

(1)

gdyby kobiety konkurowały z zawodniczkami transpłciowymi. Amerykanka Billie Jean King – 12-krotna mistrzyni Wielkiego Szlema, która wygrała pierwszą „bitwę płci” w 1973 roku – postrzegana natomiast wykluczenie osób transpłciowych jako dyskryminację.

W ostatnich latach kilka innych federacji sportowych, w tym World Athletics i World Boxing, już wprowadziło podobne testy genetyczne. W marcu Międzynarodowy Komitet Olimpijski (MKOl) ogłosił, że tylko zawodniczki, których płć została ustalona na podstawie jednorazowego testu na obecność genu SRY, będą uprawnione do udziału w zawodach kobiet podczas igrzysk.

(1, PAP)

Tępe młoty

Anita Włodarczyk i Paweł Fajdek startowali na Słowacji.

LEKKA ATLETYKA

Trojka polskich młociarzy, w tym dwójka utytułowanych mistrzów – Anita Włodarczyk i Paweł Fajdek – zaprezentowała się we wtorek w zawodach w Bańskiej Bystrzycy. Oboje zajęli drugie miejsca, ale wyniki nie były imponujące, o czym głównie zdecydowało dosyć tępe koło na stadionie SNP w Słowacji.

Trzykrotna mistrzyni olimpijska w piątce podczas mityngu w Madrycie posłała młot na 75,01 m, najdalej od czterech lat, bijąc zarazem rekord świata masters w kategorii powyżej 40 lat. Wczoraj Włodarczyk rzuciła ponad 5 metrów bliżej – 69,60 - i musiała ustąpić pola w konkursie Dunce Katrine Koch Jacobsen, która jako jedyna przekroczyła 70 metrów – 70,21.

Pięciokrotny mistrz świata chciał się zrehabilitować za kompletnie nieudany konkurs przed tygodniem w Budapeszcie, gdzie nie zaliczył żadnej z trzech prób. I udało mu się to, choć nie był to tak udany występ, jak 26 czerwca w Zagrzebiu, gdy Fajdek rzucił 81,89; tym razem mierzonych prób były trzy, a najlepsza na 74,06. W Bańskiej Bystrzycy wygrał Węgier Bence Halasz – 76,61, a szósty był drugi z Polaków, Adam Ziółkowski – 64,81.

Już w najbliższy weekend krajowa czołówka będzie rywalizować w Białymstoku o medale mistrzostw Polski, gdzie rezultaty naszych czempionów powinny być znacznie lepsze.

(1)

Droga na salony wiedzie przez Bytom

Na kortach Górnika ruszył największy w Polsce międzynarodowy turniej dla juniorów, który wygrywały kiedyś Marta Kostjuk i Linda Noskova.

Juniors Open Polska ITF J300, jedna z najważniejszych imprez tenisowych na świecie dla zawodników do lat 18, rozpoczęła się we wtorek w Bytomiu. Na Śląsk przyjechała spora grupa tenisistów i zawodników z Top 100 rankingu ITF do lat 18 - z numerem 1 roztawieni są Czeszka Katerina Zajickova (28. ITF) oraz Ekwadorczyk Emilio Camacho (38. ITF). W rywalizacji udział bierze liczna reprezentacja Polski – aż 8 dziewcząt i 8 chłopców; niestety do turnieju głównego nie przebił się nikt z Białoczerwonych.

Od 14 lat na kortach KS Górnika swoją drogę do wielkiego tenisa rozpoczynają przyszłe gwiazdy światowych kortów. W Bytomiu triumfo-



Apetyty na sukces na kortach Górnika ma także liczna grupa polskiej młodzieży.

wali m.in. świeżo koronowana mistrzyni Wimbledonu Czeszka Linda Noskova (2019), a także Ukrainka Marta Kostjuk czy Włoch Lorenzo Musetti (2017), zaś międzynarodowe szlify zbierały również takie gwiazdy współczesnego tenisa, jak Iga Świątek, Hubert Hurkacz, Matteo Berrettini, Victoria Mboko czy finalistka ostatniego Roland Garrosa Maja Chwalińska.

Zawody na kortach Górnika upamiętniają Jacka Widawskiego, dyrektora bytomskiego klubu, znakomitego organizatora wielu turniejów dla dzieci i młodzieży oraz tych zawodowych. Finały w niedzielę, wstęp na korty jest bezpłatny.

Tymczasem w celu wspierania rodzimych talentów na

drodce do profesjonalnych karier Polski Związek Tenisowy przedłużył umowę z PGE Polską Grupą Energetyczną, której nowym elementem będzie powstanie PGE PZT Teamu A. Program od lipca obejmie cztery zawodniczki w wieku 15-17 lat startujące w Bytomiu - Oliwię Sybicką (73. ITF), Barbarę Kostecką (86.), Antoninę Snochowską (389.) i Oliwię Kądzielską (400.). Od stycznia 2027 do programu mają dołączyć również ich najbardziej utalentowani rówieśnicy. Sybicka od stycznia jest także jedną z pięciu stypendystek Fundacji Igi Świątek i do końca roku otrzyma w sumie 100 tys. złotych.

(TOM)

49

BIAŁO-CZERWONYCH zostało powołanych przez Polski Związek Lekkiej Atletyki do reprezentacji na mistrzostwa świata do lat 20 w amerykańskim Eugene (stan Oregon), które odbędą się w dniach 5-9 sierpnia. Do dobrych tradycji polskiego młota ma szansę nawiązać Jan Delewski, lider światowych tabel; w przeszłości mistrzami świata juniorów byli w tej konkurencji Maciej Pałyszko i Szymon Ziółkowski. Z powodu kontuzji ze składu wypadł niestety m.in. inny kandydat do medalu, oszczepnik Roch Krukowski. Polska wystawi zespoły we wszystkich biegach sztafetowych, powołani zostali także zawodnicy z kategorii U-18, m.in. złota medalistka zakończonych w niedzielę mistrzostw Europy z Rieti w skoku wzwyż, Karina Niżyńska. Powołani nie wezmą udziału w mistrzostwach Polski seniorów w ten weekend w Białymstoku, bo już w sobotę wylatują do USA.

REMANENT

Mecz, pot i łyzy...

Jerzy Chromik



Mundial, mundial i... po reklamach. Zapraszamy teraz nie do reklamy, a do... ciszy. Nie jestem jednak po tej szóstej niedzieli aż tak bardzo zmęczony dawką wrażeń. Wybierałem sobie bowiem z talerza Infantylnego tylko co bardziej smakowite kąski. Pamiętałem wszak o przestrodze – „emeryt jak pośpi, to by coś zjadł, a jak już zje, to by sobie pospał”. Włączałem zatem telewizory w różnych zakątkach kraju planowo, ale ostrożnie, by nie wpaść w inną spiralę – emeryt jak pośpi, to by obejrzał mecz, a jak obejrzy, to by pospał. I co? Pewnie trochę straciłem, ale też dużo zyskałem. Nie kłóciłem się z nikim o spalone i pomarańczowe kartki. Przyjmowałem wszystko bez grymasu – jak leci. Za dużo tych finałów dotąd bowiem widziałem. Od 1966 – szesnaście! Tuchel, który wygląda jak Teufel w piekielnym szale, popsut mi jednak najważniejszą kłamrę sportowego życia. Mając finał pod Nowym Jorkiem na wyciągnięcie ogona, cofnął Anglików do poczekalni historii. Bronił 1:0, bo nie zna Czesława M., który nawet przy 2:0 ułożyłby się z Argentyną i poprosił o jak najniższy wymiar kary. A mogłem za swego żywota mieć razem z królem Karolem



Miałem dziesięć lat, gdy... pokolorowałem świat.

po raz drugi mistrzów świata z Wysp Brytyjskich. Przed sześćdziesięcioma laty za pomocą pergaminu odwzorowałem na kartonie logotyp tamtych finałów MŚ. A potem ręką dziesięciolatka wypełniłem wszystko farbami. Przez

całe kibicowskie życie liczyłem, że malunek jeszcze kiedyś się przyda. Mam go, ale nie mogę się z nim za bardzo obnosić. Owszem, po spektakularnym meczu o trzecie miejsce wstyd nie ma, ale tytuł to jednak byłby tytuł!

Winston Churchill ostrzegał kiedyś rodaków – „nie mogę wam obiecać niczego oprócz krwi, znoju, łez i potu”. Krwi tym razem nie było, nawet potu nie za dużo, ale już łyżka można było wynosić w kornwach. Nie wiadomo tylko dotąd, czy więcej było też szczęścia, czy rozpacz. Ale jakie to ma znaczenie dla przegranych? O łzach powinno być szerzej, bo mam przed oczami scenę, gdy Iga ukryła twarz w ręczniku po wygranym meczu w Wimbledonie. Płakać każdy może, ale nie każdy chce publicznie. Taki Lautaro z trudem powstrzymywał łzy podczas pomeczowego wywiadu, a już Anglik Gordon, łudząco podobny do innego rudowłosego, Szkota Strachana, ronił łzę za łzą i nie skrywał tego pod żadną chusteczką. Płakał też Messi po finale, jakby ukradkiem, ale Yamal przytulił go jak wujka na kolejnych urodzinach. Kiedyś może jeszcze napiszę więcej o łzoterapii, bo nie godzę się z tezą, że prawdziwi dżentelmeni nie płaczą. Płaczą, tylko inaczej, a czasami nawet dostojnie. Co zapamiętałem jeszcze z tych finałów granych na trójkolówce amerykańsko-meksykańsko-kanadyjskiej? Choćby to, że w przeciwieństwie do naszych ekstraklasowych ci mundialowi sędziowie mało pili. Zapraszali

graczy do baru, blisko VAR-u, co 22,5 minuty, a potem krępowali się przyznać, że też mają pragnienie. Bynajmniej nie sprawiedliwego wyniku. A arbiter to nie wielbłąd – robi błędy, ale pić powinien przynajmniej tyle, co kiedyś wszyscy ludzie Fryzjera. Poprzedni felieton skończyłem zdaniem – Trump z Wami. I co? Tak było! Nawet Infantino nie był w stanie odciągnąć najważniejszego na świecie od nowych mistrzów. Ten za wszelką cenę chciał być na zdjęciu! Bo przecież jest na każdym i tylko on decyduje o tym, kto może mieć z nim selfie. Ale tak gwoli historycznej prawdy jeden nie podał Donaldowi nr 1 ręki. Argentyńczyk Cristian Romero minął go z pogardą w trakcie wręczania medali przegranym. Złe zachowanie? Typowe dla Argentyny. Falklandy są przecież ich, tak samo jak... niechęć szlachetnej części świata po żenujących scenach podczas i po ich niby wielkim finale. A co krzepi? Prawie jak cukier. Młody Yamal, ten z numerem 19, który wydobyl ze smutku TEGO z numerem 10. Objął go ramieniem i powiedział mu coś na ucho, nie zastaniając tym razem ust. Vincić już tego nie widział. My chyba też nie chcielibyśmy Słoweńca więcej oglądać. Nawet bez gwizdka.

SZYBKA ZWOLIŃSKA

KAJAKARSTWO GÓRSKIE

■ Klaudia Zwolińska z najlepszym wynikiem, ex aequo z Niemką Ricardą Funk, awansowała do półfinału mistrzostw świata w Oklahoma City w swojej koronnej konkurencji – slalomie K1. Srebrna medalistka olimpijska broni w USA tytułów zarówno w K1, jak i C1. Zwolińska i Funk użyszczały 89,38 sek., pokonując tor bezbłędnie, i o 0,72 sek. wyprzedziły Słowaczkę Sonę Stanovską. Do półfinału awansowała również 24. Hanna Danek, tracąc 6,14. Z rywalizacji odpadła 34. Dominika Brzeska - 8,25 straty. Półfinał, z udziałem 30 zawodniczek, oraz finał odbędą się w czwartek. Na 4. miejscu eliminacje slalomu K1 zakończył Mateusz Polaczyk. Do półfinału awansowali również Dariusz Popiela i Michał Pasiut. Najszybszy był Jakub Krejci. Czech uzyskał 80,02 i o 0,16 sek. wyprzedził Niemkę Noaha Hegge, o 0,25 Włocha Xabiera Ferraziego oraz o 0,47 Polaczyka. Popiela zajął 14. miejsce, tracąc do zwycięzcy 2,63, natomiast Pasiut był 26. - 3,74 straty. Mistrzostwa świata rozpoczęły cykl kwalifikacji do igrzysk Los Angeles 2028. Właśnie w Oklahoma City rozegrane zostaną za dwa lata olimpijskie zawody w slalomie kajakowym, ale na innym torze, którego budowa trwa.

POLECAMY IMPREZY SPORTOWE W TV

ŚRODA, 22 LIPCA

TVP 1
20.10. Wiadomości sportowe

TVP 3
16.24, 19.00, 21.52 Przegląd wydarzeń regionalnych

POLSAT
19.35 Wiadomości sportowe

TVN
19.35 Wiadomości sportowe

EUROSPORT 1
13.15 Kolarstwo: Tour de France, 17. etap (na żywo)

POLSAT SPORT 1
9.45 Siatkówka: Liga Narodów kobiet, ćwierćfinał Włochy - Holandia, 13.15 Brazylia - Japonia (na żywo)

POLSAT SPORT EXTRA 2
9.45 Siatkówka: Liga Narodów kobiet, ćwierćfinał Włochy - Holandia, 13.15 Brazylia - Japonia (na żywo)

Wszystkie telewizje korzystają z prawa do zmiany w swoich programach. Powody zmian mogą być również niezależne.

Belg znowu pokonał Słoweńca

Remco Evenepoel ponownie – tym razem w jeździe indywidualnej na czas – okazał się lepszy od Tadeja Pogacara, który pozostał liderem Tour de France.

KOLARSTWO

Aktualny mistrz olimpijski i świata, a więc faworyt wtorkowego etapu, osiągnął najlepsze międzyczasy na wszystkich punktach liczącej 26,1 km trasy, który zaczynała się i kończyła nad Jeziorem Genewskim. Jej pierwsze 10 km prowadziło niezbyt stromo pod górę – na szczycie Evenepoel wyprzedzał Pogacara o 14 sekund, na zjeździe dołożył jeszcze dwie i dodatkowo 12 na płaskim odcinku prowadzącym do mety, czyli w sumie 28. Poza tymi dwoma kolarzami nikt inny nie liczył się w walce o zwycięstwo – Duńczyk Mattias Skjelmose (Lidl-Trek), który zajął trzecie miejsce, stracił do zwycięzcy ponad minutę.

– To, że wygrałem w belgijskie święto narodowe, czyni ten sukces wyjątko-

wym. Czytałem, że minęło sporo czasu, odkąd Belg wygrał w tym dniu, więc jestem dumny, że to właśnie ja tego dokonałem – cieszył się Evenepoel, któremu na trasie kibicowała rodzina. Zawodnika grupy Red Bull-BORA-hansgrohe zmartwiła natomiast kraksa

kolegi z drużyny, Floriana Lipowitza. W drugiej części dystansu zajmujący dotąd piąte miejsce w klasyfikacji generalnej Niemiec zaliczył na tyle groźny upadek, że wycofał się z rywalizacji.

Drugi w rankingu Belg ponownie pokonał lidera – w niedzielę w końcówce górskiego odcinka, a po dniu przerwy – w „czasówce”. Nie ma jednak złudzeń, że zagrazi Słoweńcowi. – Tadej jest z innej planety, reszta staw-

ki pozostaje daleko w tyle. Skupiam się na swoim drugim miejscu i zrobię wszystko, by je obronić – podkreślił Evenepoel.

16. etap (jazda indywidualna na czas), Evian-les-Bains - Thonon-les-Bains (26,1 km): 1. Remco Evenepoel (Belgia, Red Bull-BORA-hansgrohe) 32.19, 2. Tadej Pogacar (Słowenia, UAE Team

Emirates-XRG) strata 28 s., 3. Mattias Skjelmose (Dania, Lidl-Trek) 1.04 ... 46. Michał Kwiatkowski (Netcompany INEOS) 4.18, 142. Kamil Gradek (Bahrain-Victorious) 6.38.

Klasyfikacja generalna: 1. Pogacar 56:14.18, 2. Evenepoel 4.32, 3. Isaac del Toro (Meksyk, UAE Team Emirates-XRG) 6.51 ... 124. Kwiatkowski 3:56.42, 164. Gradek 4:38.39.

BEZ POLAKÓW NA PODIUM

■ Lars Rouffauer (EEW-VDK) wygrał w Wysokim Mazowieckim Memoriał Andrzeja Trochanowskiego. Holender wyprzedził rodaka i kolegę z zespołu Marvinę Petera oraz Estończyka Raita Arma (Energus). Faworytami rywalizacji byli polscy kolarze czeskiej grupy ATT Investments – Norbert Banaszek i Marcell Bogusławski, którzy triumfowali w Memoriale odpowiednio rok i dwa lata temu. Końcówka,

prowadząca 3-kilometrowymi rundami po ulicach miasta, nie była jednak dla nich szczególnie trudna, bo około 200 metrów przed linią mety jeden z kolarzy czeskiej drużyny upadł na jezdnię, co spowodowało, że Banaszek nie miał wydatnej pomocy ze strony drużyny i w efekcie finiszował siódmym, jako najlepszy z Polaków. Dziś wszystkie uczestniczące we wczorajszej rywalizacji drużyny staną na starcie czteroetapowego 69. wyścigu Dookoła Mazowsza.



Właściciel tęczy nad Jeziorem Genewskim.

Nigdy nie jest za późno

Podczas The Open Championship 39-letni Ryan Fox sięgnął po pierwsze trofeum wielkoszlemowe. To historia niemal jak z bajki.

Niedziela 154. The Open Championship zapisała się w historii jako jeden z najbardziej chaotycznych i dramatycznych dni w golfie. Przy twardych, wysuszonych przez słońce fairwayach i wręcz wypieczonych greenach, seryjnie odpadali faworyci. Tracili panowanie nad grą, a piłki latały dosłownie wszędzie. Nowozelandczyk, prawie cały na czarno, zachował w upalnej pogodzie najchłodniejszą głowę, wytrzymał szaleńczy napór rywali i rzutem na taśmę wywalczył wymarzony Claret Jug. Wszyscy trzymali za niego kciuki – no może poza Cameronem Youngiem, który po przypuszczeniu frontalnego ataku w niedzielę przygotowywał się do potencjalnej dogrywki, w czasie kiedy grający w grupie finałowej Fox kończył rundę. Nic dziwnego, „Foxy” jest uwielbiany przez fanów golfa na całym świecie – za swoją szybką i niczym błyskawica grą, za wielką skromnością, niezwykłą osobowość oraz rzadko spotykaną drogę na sam szczyt.

Pogrom rywali i atak Younga

Niedziela była kulminacją naprawdę trudnych warunków na Royal Birkdale. Wysoka temperatura z minuty na minutę powodowała, że pole robiło się coraz trudniejsze. Piłki po uderzeniach czołówki turniejowej nie chciały zatrzymywać się na fairwayach i seryjnie przetaczały się przez greeny. Z czasem wzmagał się wiatr, co w połączeniu z twardym podłożem tworzyło warunki ekstremalne. Idealnie wstrzelił się w ten scenariusz Cameron Young, który rozpoczął niedzielą szarżę ponad dwie godziny przed ostatnią grupą. Wykorzystał nieco spokojniejsze warunki poranno-południowe, wystrzelił z genialną rundą -6 i objął prowadzenie z wynikiem -9. Przez kolejne prawie dwie godziny siedział w domu klubowym, a później trenował na strzelnicy, czekając na ewentualnego śmiałka, który zdoła go dogonić. Jego niesamowity wynik zepsuł jedynie bogey na ostatnim dołku, który – jak się później



Ryan Fox wcześniej nie był nawet w TOP 10 turniejów wielkoszlemowych.

okazało – kosztował go bardzo wiele. Faworyci z późniejszych grup zaczęli pękać jeden po drugim. Sam Burns – lider po trzech rundach z dwoma uderzeniami przewagi, całkowicie stracił rytm na pierwszej dziewiątce, notując tam trzy bogeye z rzędu. Na ostatnich dwunastu dołkach zaliczył 12 parów i finiszował na trzecim miejscu. Koreańczyk Si Woo Kim przez moment wyszedł na prowadzenie na początku drugiej dziewiątki, ale zaliczył bolesne 40 uderzeń na drugiej i wypadł z walki o tytuł. Bryson DeChambeau – przeżył prawdziwy koszmar na jedenastce, gdzie zgubił piłkę, zanotował soczystego triple'a i definitywnie pożegnał się z marzeniami o tytule. Scottie Scheffler mimo „dość” kontrowersyjnej decyzji sędziego na siedemnastce, która w praktyce pozwoliła mu... wyczarować birdie ze zgubionej piłki, mimo klasycznej jak na niego pogoni, zakończył walkę na miejscu czwartym, dzielonym z lokalnym bohaterem – Tommym Fleetwoodem.

Odważna deklaracja

Fox tymczasem parł do przodu, grając w ostatniej grupie z Burnsem. Pierwszą dziewiątkę skończył na par. Prawdziwy rol-

lercoaster zaczął się na ostatnich dołkach. Nowozelandczyk odpalił niesamowity finisz, zdobywając cztery birdie na ostatnich sześciu dołkach! Po drodze było też trochę pecha – na piętnastce i siedemnastce jego świetne uderzenia, przez wspomniane już super twarde i suche warunki, minimalnie stoczyły się do głębokich, budzących prawdziwą groźę bunkrów, zmuszając go do niezwykle trudnych zagrań ratunkowych. Najpierw przypłacił to bogeyem, ale później zdołał uratować kluczowego para. Gdy rozpoczął ostatni dołek, remisując z Youngiem z wynikiem -9, dobrze wiedział, jaka jest sytuacja. Potrzebował birdie na zwycięstwo, na uniknięcie dogrywki. Presja była niewyobrażalna – przecież grając agresywnie na tym najtrudniejszym dołku na polu, mógł w sekundę stracić szansę na dogrywkę. Co robi w tej sytuacji? Odwraca się do swojego caddiego, Deana Smitha i mówi do niego: „Idziemy na całość. Spróbuję wygrać ten turniej tutaj i teraz, a jeśli to schrząnie, po prostu pogodzę się z konsekwencjami”. Odważna deklaracja nawet nie zdążyła odpowiednio wybrzmieć, kiedy odpalił pocisk na środek fairwaya, po czym posłał wspaniałe

uderzenie ironem z około 160 metrów na green – niecałe 4 metry od flagi. Znany z błyskawicznego tempa gry niczego nie celebrował. Podeszedł do piłki i bez zbędnej zwłoki trafił piąte birdie dnia i przypieczętował miejsce w historii golfa. Young na strzelnicy usłyszał tylko ryk publiczności – w tym momencie wszystko stało się jasne również dla niego – po raz drugi był drugi podczas The Open. Zwycięstwo Foxa było piorunujące. Warto przypomnieć, że po czwartku był dopiero na 85. miejscu, dzień później awansując na pozycję 52 i przechodząc cut niemal o włos. To największy awans na pozycję lidera po 36 dołkach w historii wielkich szlemów. Dzień wcześniej wyrównał rekord męskich turniejów wielkoszlemowych, wykręcając kosmiczną rundę 62. Już po wszystkim nie mógł uwierzyć w to, co się stało: „To coś, o czym się marzy” – powiedział. „Kiedyś wstałem w środku nocy, żeby obejrzeć ten turniej w domu. Zostać Champion Golfer of the Year to coś niewiarygodnego, surrealistycznego, szalonego.

Brakuje mi słów, żeby to opisać”.

Geny sportowca

Sportowy sukces ma zapisany w genach. Jego ojciec – Grant Fox, to absolutna ikona nowozelandzkiego rugby – mistrz świata z reprezentacją All Blacks z 1987 roku. Z kolei dziadek ze strony matki – Merv Wallace, był kapitanem narodowej reprezentacji Nowej Zelandii w krykiecie. Ryan dorastał w cieniu tych wielkich postaci, ugańając się w młodości za jajoową piłką i zaliczając solidne występy w krykiecie. „Zaraz po podpisaniu karty wyników dorwałem telefon i połączyłem się z rodziną. Moje córki krzyczały do słuchawki: »Prosił, żebym przywiózł trofeum do domu, i właśnie to robię, prawda?« Rozmawiałem też z tatą. Przez całe życie w Nowej Zelandii i na świecie byłem znany przede wszystkim jako »syn Granta Foxa«. Za każdym razem, gdy robiłem coś w sporcie, pojawiało się jego nazwisko. Powiedziałem mu dzisiaj przez łzy, że w końcu role się odwróciły i to on od teraz jest tatą mistrza wielkoszlemowego. Słyszałem, jak łamał mu się głos ze wzruszenia” – składał po zwycięstwie hołd swojemu wielkiemu ojcu. Zamiast iść utartą ścieżką, dopiero jako nastolatek

postawił na golfa. Wiek 17 lat to dla większości współczesnych mistrzów moment, w którym trenują już od dawna, jednak dla Foxa był to dopiero czas poważnego wejścia w ten sport. Nie spieszył się z karierą – studiował prawo na University of Auckland, by ostatecznie obronić dyplom z psychologii. Na przejście na zawodowstwo zdecydował się dopiero jako 25-latek, co w dzisiejszym sporcie jest raczej niespotykane.

Od załamania do euforii

Początki były na tyle bolesne, że zaledwie dwa lata później przeżył głęboki kryzys i był o krok od całkowitego porzucenia sportu. Determinacja przyniosła jednak efekty i jako 30-latek wywalczył upragniony awans na European Tour, a w wieku 37 lat zrealizował kolejne wielkie marzenie, zdobywając pełną kartę członkowską w amerykańskim cyklu PGA Tour. Ta niezwykła, pełna cierpliwości i zakrętów droga znalazła swój filmowy finał na polu Royal Birkdale. Wcześniej wygrywał czterokrotnie na DP World Tour i dwukrotnie na PGA Tour. Warto wspomnieć, że kiedy przenosił się na PGA Tour, rywalizację za Atlantykiem miał rozpocząć również Adrian Meronk, który był pierwszy w specjalnym rankingu ligi – Race to Dubai Rankings – PGA TOUR Eligibility, dającym przepustkę do występów za Atlantykiem. Fox był w tym rankingu drugi. Ich drogi po wielu wspólnych występach na DP World Tour bardzo się rozjechały. Adrian wybrał LIV Golf, Fox PGA Tour. Ryan tak podsumowywał swoją dość nietypową ścieżkę kariery: „Gdybym jako chłopak usłyszał, że w wieku trzydziestu dziewięciu lat będę stał tutaj z Claret Jug, uznałbym to za kiepski żart. Zacząłem grać turniejowo dopiero jako siedemnastolatek, podczas gdy dzisiejsze dzieciaki w tym wieku mają już za sobą dziesięć lat morderczych treningów. Moja droga była inna, pełna zakrętów, gry w rugby i nauki. Patrzę teraz na to trofeum z bliska po raz pierwszy w życiu i wciąż nie potrafię znaleźć w słowniku odpowiednich słów, by opisać to, co czuję. Mam nadzieję, że moja wygrana udowodni każdemu, kto późno zaczyna, że na spełnienie marzeń nigdy nie jest za późno”.

Kasia Nieciak

MERONK WRACA DO GRY

■ Po gigantycznych emocjach związanych z triumfem Ryana Foxa na Royal Birkdale, uwaga polskich kibiców przenosi się z Southport do centralnej Anglii na pole JCB Golf and Country Club w Rocester w hrabstwie Staffordshire. Już w czwartek do rywalizacji powraca tam Ad-

rian Meronk, reprezentujący barwy Cleeks GC w LIV Golf United Kingdom. Transmisje być może jednego z kilku ostatnich turniejów LIV pokaże Golf Zone. Innym wydarzeniem, które obejmujemy w polskiej telewizji będzie turniej PGA Tour - 3M Open, transmitowany od czwartku do niedzieli w Eurosporcie 2.



Adrian Meronk przed kolejnym turniejem trenował we Wrocławiu.